Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI | Niedziela, dnia 20 lutego 1938 r. | Nr. 8

BIAŁA ZADUMA



Zadumo moja śnieżna,
Zadumo moja biała...
całaś się w blaskach słońca
rannego wykąpała...

Nikt nie zrozumie tej ciszy,
co w tobie jest i we mnie...
Przepływasz falą białą
i falą odpływasz ode mnie...

Drzewa w srebrnej koronce,
jak w gęstej pajęczynie...
Zadumo moja biała,
powiedz, jak ci na imię?...

Zamykasz moje okno
białym kwadratem tęsknoty...
milczysz w srebrnych kryształkach,
rozkwitasz w kwiatach złotych...

Gdy zmierzch zapada nad tobą,
gwiazdami pereł plami
dal nieskończoną i białą,
wklęsłą, jak nieba aksamit...

Leżysz na polach błękitnych,
błękitnym pasmem śniegu...
A ciemne oczy zmierzchu
śladu twojego strzegą...

Józef Baranowski.

ADAM CZEKALSKI

20)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Za kilka minut wstanie i nic jej nie będzie — orzekł w końcu inżynier, rozglądając się dokoła i przyglądając zgromadzonym tu osobom. A zgromadzili się prawie wszyscy zainteresowani w całej tej sprawie: więc doktor Mazurkiewicz, komisarz Krajewski, Kulka, Barłamp... Ten ostatni to właśnie, odzyskawszy jako tako siły, opowiedział, jaki właściwy jest cel tych wszystkich wyczynów Borowicza i jego zamachu na Lilę, poczem porwał komisarza i Kulkę i przywiózł ich do mieszkania Krupińskich.

— Może będziemy mogli czymś przeciwdziałać, może coś poradzimy tej biedaczce — mówił zaaferowany Oleś.

Komisarz dał się pociągnąć i pojechał, polecając dyżurnemu w komisariacie, aby go natychmiast powiadomił, gdyby coś ważnego zaszło, lub też, gdyby nadeszła oczekiwana wiadomość z Warszawy w sprawie Borowicza.

Niestety, mimo najszczerszych chęci, żaden ze zgromadzonych tu ludzi nic Lili pomóc nie mógł i dopiero nagłe przybycie Soreckiego ulżyło radykalnie jej cierpieniom.

— Inżynierze kochany — zwrócił się do Soreckiego Mazurkiewicz — powiedz mi, bo widzę, że znasz się na tych piekielnych sztuczkach, co dzieje się z tą biedaczką? Albo lepiej — co działo się jeszcze przed chwilą, zanim ty przybyłeś.

— Hipnotyczna tatuca na odległość, doktorze — odrzekł inżynier. — Niezmiernie trudna i skomplikowana czynność, która wymaga olbrzymiej wiedzy, olbrzymiej siły woli i całego szeregu innych wtajemniczeń, o których nie czas tu wykładać. Dość powiedzieć panom, że ten łotr spowodował nawet wykolejenie pociągu, chociaż fizycznie nie uczynił nic, aby do tego doprowadzić.

— Jakto? Kiedy? — spytało naraz kilka głosów.

— Co tylko, bo właśnie z miejsca katastrofy tutaj przybywamy, cudem tylko prawdziwym ocaleni — odrzekł za inżyniera Stadnicki.

W tej chwili zadzwonił telefon. Krajewski pobiegł szybko do niego, czas jakiś rozmawiał, poczem wrócił z radosnym oznajmieniem:

— Tak, doskonale przeczuwałem! Właśnie nadszedł list gończy z londyńskiego Scotland Yardu za szanownym mister John W. Borowiczem, poszukiwanym o zbrodnię morderstwa, dokonaną na osobie Stanisława Krupińskiego.

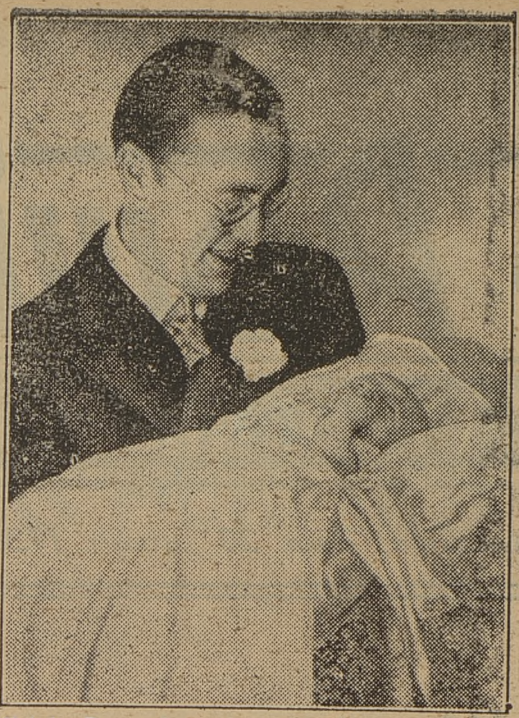
— Jezus, Maria! — krzyknęła pani Ewa.

W tej chwili zbudziła się Lila i powstała rzeźka i nawet wesoła, tylko blada była po dawnemu.

— To nie do wiary... — zamruczał doktor Mazurkiewicz. — To przechodzi imaginację ludzką, wodzi za nos tak poważną naukę, jak wiedza lekarska.

Stadnicki parsknął śmiechem, a Sorecki zauważył:

— Bywają sprawy w dalekich Indiach takie, kochany doktorze, że nasza wiedza



Książę Bernard ze swą córeczką, następczynią tronu holenderskiego — na ręku.

europejska może z powodzeniem za służącą służyć u wiedzy tamtejszej. Sądzę, że miałeś dostateczne po temu dowody choćby na niedługiej działalności Borowicza na terenie Łodzi.

— Wybaczcie, drodzy państwo, ale na mnie czas — odezwał się Krajewski. — Panie Kulka, panie Barłamp — idziemy do roboty.

— A my, to co? — rzekła Lila. — Czyż nie wolno nam oglądać pańskiego triumfu, panie komisarzu?

— Jeśli macie ochotę, jedźcie do komisariatu i poczekajcie tam na nas, a my tam zaraz powrócimy.

— No to jedźmy wszyscy — zadecydował doktor Mazurkiewicz.

Krajewski zabrał swoich pomocników i odjechał z nimi natychmiast na łowy na Borowicza, na którego sieci były już rozstawione i zwierz szedł w matnię.

Kiedy zaś Borowicz powędrował do aresztu, Krajewski, napierany przez otoczenie, aby opowiedział wszelkie znane mu szczegóły o zmarłym tragicznie gdzieś tam w dalekiej Kalkucie Stanisławie Krupińskim, wymówił się brakiem czasu i pilności innych spraw, a dla załagodzenia swej odmowy dodał:

— Nie chcę odbierać palmy zwycięstwa naszemu beniaminkowi, vulgo panu Aleksadrowi Barłampowi i wolę, ażeby on to wszystko państwu opowiedział, bo wiele nieborak sam wycierpiał w związku z tą sprawą.

— Ale także nie dzisiaj — zastrzegł się Barłamp — nie dzisiaj, kochani państwo, bo muszę uprzednio posegregować wszystkie szczegóły według kolejności i porządku.

— W takim razie zapraszamy pana na jutro do nas — odezwała się pani Ewa, a za nią pośpieszyła i Lila, dodając:

— I, naturalnie, wszystkich tu obecnych.

Nazajutrz zgromadzili się wszyscy zaproszeni w mieszkaniu pań Krupińskich. Oleś jako najważniejsza w danym momencie figura, robił tajemnicze miny i długo zwlekał, nim nareszcie, uproszony, zaczął swoje opowiadanie.

— Przede wszystkim — rzekł — muszę państwu zakomunikować najważniejszą nowinę dnia dzisiejszego...

— No, cóż tam znowu ciekawego zaszło? — zapytano z różnych stron.

— Za godzinę najdalej przybędzie tu sekretarz i radca handlowy naszego poselstwa w Kalkucie, który przybył drogą powietrzną specjalnie w sprawie Borowicza. Przywiózł on podobno tak rewelacyjne wiadomości o tym ciekawym człowieku, że opowiedzenie ich wprawi nas naprawdę wszystkich w zdumienie.

— Czy... czy i o mężu moim przywiózł jakąkolwiek wiadomość? — spytała pani Ewa.

— W tej sprawie właśnie przyjechał — odrzekł Barłamp. — I tak mi się coś wydaje, proszę pani, że będziecie państwo zmuszeni wybrać się do Indii w sprawie spadku po panu Krupińskim. Ale jeśli nie zabierzecie mnie ze sobą, to niech mnie lepiej wypchają trocinami.

— Z panem zawsze i wszędzie — uśmiechnął się Stadnicki. — Jest pan przecież jedną jeśli nie z najważniejszych, to w każdym razie bardzo ważną postacią w całej tej sprawie.

— No, no, panie poruczniku, tylko bez pochlebstw! — zastrzegł się Barłamp. — A z drugiej strony proszę przyjąć do wiadomości, że ja bynajmniej nie zamierzam eksploatować państwa z tego tytułu, albowiem jadę na własny koszt, zastrzegam sobie tylko zainteresowanie w sprawie windykacji spadku.

— O tym potem, panie Olesiu — przerwała Lila — proszę nam lepiej opowiedzieć to, co najbardziej interesuje nas w danym momencie, a więc dzieje naszego ojca i tego mistycznego miliona w złocie, o którym niejednokrotnie słyszeliśmy już.

— A zatem — uwaga! — rzekł na to Barłamp. — Zaczynamy: Otóż musimy cofnąć się pamięcią daleko wstecz, do czasu wojny rosyjsko-japońskiej, na którą udał się pan Stanisław Krupiński nie dlatego, aby chciał, ale — że musiał. Jak wojował, co czuł, co przeżywał — nie będziemy się tym zajmowali teraz, bo — przyznam się ja sam tego nie wiem, ale to pewna, że nie musiał czuć się tam dobrze, że wiele tragicznych momentów przeżyć musiał, skoro zdecydował się na ucieczkę w nader oryginalny sposób. Jak paniom wiadomo, a przynajmniej, jak wiadomo pani szanownej — skłonił się Barłamp pani Ewie, — pan Krupiński był oficerem intendantury. Otóż, gdy mu już Moskale dogryźli do żywego, zabrał cały obóz i poprowadził go do Japończyków. Przyjęto go tam bardzo przychylnie, daleko więcej jeszcze przychylnie, niż wszystkich innych Polaków, którzy dostawali się do niewoli rycerskich synów państwa wschodzącego słońca.

Zostawiony całkowicie na swobodzie i obdarzony pensją, mógł pan Stanisław żyć spokojnie do końca dni swoich, nie troszcząc się o środki utrzymania. Ale w nim pokutował zawsze duch przedsiębiorcy, duch energii i czynu, więc nie chciał spokojnie siedzieć na miejscu, ale podjąwszy skapitalizowaną sumę pensji, pożegnał swoich przyjaciół w Tokio i ruszył do Indii, gdzie obiecywano mu pomoc i opiekę przy otwarciu fabryki włókienniczej. Rozpoczął też tam natychmiast po przybyciu do Kalkuty swoją ożywioną i pożyteczną działalność i w nader niedługim czasie doprowa-

dził do uruchomienia fabryki. W tym też czasie znalazł pewnego dnia opuszczone i bezdomne dziecko białe, chłopca, którego przygarnął do siebie i nawet usynowił. Istnieje pogłoska, że był to jego syn naturalny, ale stwierdzonem to nie jest. W każdym razie pewnym jest to, że chłopiec ten znalazł w Krupińskim prawdziwego opiekuna i prawie ojca, został wykształcony i wychowany w najpierwszych zakładach naukowych angielskich i miał się stać kiedyś spadkobiercą jego pomysłów i dalszym kierownikiem założonej przez pana Stanisława fabryki. Jak dotąd, nic nie wskazywało na to, aby cokolwiek w tych planach Krupińskiego ojca zmienić się miało. Lecz, jak to zazwyczaj bywa, przypadki chodzą po ludziach. Pewnego dnia Krupiński ojciec udał się samodziesięć na łowy i w pościgu za jeleniem znalazł się na miejscu dość pustynnym, gdzie nareszcie upolował ścigane zwierzę. Jeleń padł od kuli pana Stanisława, a padając, zdarł pyskiem mech, porastający golizny. Jakież było zdziwienie i radość Krupińskiego, gdy przyjrzawszy się uważnie obnażonemu z mchu miejscu, ujrzał najprawdziwszą miedź rodzimą. Natychmiast zajął się zbadaniem całego terenu, a przekonawszy się, że odkrył przypadkowo niezwykle bogate złoża miedzi, nic nikomu o tym nie wspominając, wrócił do Kalkuty i postarał się o licencję u rządu na eksploatację tych złóż, znajdujących się na terytorium władzy świętego plemienia hinduskiego.

Anglicy nie byli przeciwni założeniu kopalni miedzi i okazali nawet Krupińskiemu wszelką, jak najdalej idącą pomoc, zastrzegając sobie tylko pewien nadzór nad zbytem produkcji. Przeciwnymi natomiast okazali się wodzowie świętego plemienia, którzy od chwili postawienia pierwszego budynku na terenie, rozpoczęli systematyczną wojnę z Krupińskim. Narzędziem w rękach rady kapłańskiej tego plemienia stał się Borowicz, pół krwi Hindus, pół krwi Polak, syn wagabundy, który w poszukiwaniu przygód zabrnął aż do Indyj i niezbadanymi jakimiś sposobami zdołał zdobyć zaufanie świętego plemienia i nawet ożenić się z jedną z jego cór. Mister John W. Borowicz już od najmłodszych lat zdradzał wielkie zdolności mediumiczne, na co rada kapłańska zwróciła uwagę i użyła go za narzędzie w walce z Krupińskim. Doprowadzono tedy w bardzo krótkim czasie do tego, że odbywający służbę wojskową w jednym z pułków angielskich w Kalkucie Tadeusz Krupiński, dopuścił się bardzo ciężkiego przestępstwa przeciwko dyscyplinie. Państwo zapewne domyślicie się, jakimi sposobami posługiwano się tutaj? Coś podobnego uprawiał przecież i tutaj u nas w Łodzi ów mister John. Hipnoza na odległość, podporządkowanie swojej woli — woli objektu, który miał dokonać przestępstwa. I nie trzeba chyba wyjaśniać, że konsekwencje dla młodego Tadzia były bardzo smutne. Został surowo ukarany, a po odbyciu kary ojciec wysłał go na studia do Francji. Tutaj pojechał za nim drugi członek rady kapłańskiej i zaplątał go w sieci afery szpiegowskiej w Touluzie, Paryżu, a ostatnio w Havrze. W wyniku ostatniej afery Tadeusz Krupiński skazany został na długoletnie więzienie, które właśnie odbywa.

Po aferze przybranego syna w Kalkucie i Touluzie, nie znając istoty rzeczy, stary Krupiński wyrzekł go się i wydziedziczył — Bóg świadkiem, z jaką krzywdą dla tego dzielnego i wieloobiecującego młodzieńca. Ale Krupiński musiał to uczynić, aby pozostawać w zgodzie z władzami angielskimi i liczyć na ich pomoc, która była konieczna.

Usunąwszy tę jedną przeszkodę, Borowicz zaskarbił sobie względy Krupińskiego przyznaniem się do polskości, opowiadaniem mu o swoich tęsknotach i pragnieniach odrodzenia się w całkowitym duchu polskim i innymi matactwami, sobie tylko wiadomymi. Ale stary Krupiński nie był naiwnym i nie pozwolił sobie wydrzeć ani piędzi miedzianego terenu. Wtedy to zapadło postanowienie na radzie kapłańskiej, aby i Stanisława Krupińskiego usunąć, ale przy pomocy takiego środka, któryby nie zwrócił uwagi władz. Roli tej podjął się znowu, na rozkaz rady plemiennej, mister John Borowicz. Będąc w zażyłych stosunkach z Krupińskim, bo był jego osobistym sekretarzem i mając dostęp do niego każdej chwili, zaczął go w ciągu szeregu tygodni truć jakąś nieznaną substancją czy zielem. Aż doprowadził do tego, że Krupiński zmarł. Nim jednakże to nastąpiło, Krupiński sprzedał kontraktem rządowi cesarstwa Indyj cały swój majątek za milion funtów szterlingów w złocie, a w umowie tej postawił warunek, iż ów milion ma być wypłacony jego córce, Alicji Krupińskiej, względnie jej mężowi, o ile wyszła za mąż, lub jej dzieciom.

I tu właśnie macie państwo przyczynę, dlaczego mister John przyjechał do Łodzi, dlaczego „zakochał" się tak gwałtownie w pannie Lili, dlaczego tak długo siedział, wydając moc pieniędzy i udając przedstawiciela handlowego.

Ale ostatnio wyszła zbrodnia Borowicza w Kalkucie na jaw i policja tamtejsza rozesłała listy gończe za nim. Jak się domyślamy, zapewne sama rada kapłańska, widząc, że Borowicz, mimo nakazu, nie mógł panny Alicji pojąć za żonę — zadenuncjowała go do władz, aby go się w ten sposób pozbyć, jako człowieka, który nie jest jej już potrzebny. I tak oto, mister John będzie naprzód sądzony tutaj, u nas, a po odbyciu kary — powędruje do Kalkuty, by tam odpowiadać znowu przed sądem za zbrodnię otrucia Stanisława Krupińskiego.

Oleś skończył opowiadanie i spojrzał ciekawie po twarzach zgromadzonych dokoła ludzi. Zobaczywszy zaś troskę na twarzy Stadnickiego, zapytał:

— Cóż to, martwi się pan tak ogromnym spadkiem?

— Eh, cóż mi tam spadek, gdy sumienie moje dręczy się wciąż nierozwikłaną zagadką kradzieży planów inżyniera Kosibowicza, co pociągnęło nawet śmierć tak uczciwego ze wszech miar człowieka, jakim był nieodżałowanej pamięci pułkownik Grodecki — odrzekł ze smutkiem Stadnicki.


Fascynujący taniec dwóch sióstr-tancerek.


Zwycięzca Schmelinga Ben Foord całuje swoją żonę, winszującą mu sukcesu.



Pożegnanie...

— Ach, prawda! — zawołał na to Barłamp. — Toż ja państwu nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Otóż i ta sprawa się wyjaśniła całkowicie. Borowicz sam dopomógł nam do tego, pisząc do mnie list (to jest ciekawy moment, bo przecież skazał on mnie na śmierć samobójczą i był przekonany, że ja dawno nie żyję), w którym to liście powiedział, że plany inżyniera Kosibowicza wykradł pod hipnozą porucznik Wieczorkiewicz. Już on tam teraz, biedak, musi bardzo gęściutko tłumaczyć się przed władzami sądowymi w Warszawie i pewnie na gładko nie wykaraska się z tego karambolu, bo władze te nie chcą nic wiedzieć o jakiejkolwiek hipnozie. Podobnie postąpił sobie także Borowicz z przodownikiem Szafrańcem, bardzo podatnym na wpływ hipnotyzmu, zmuszając go do spełniania wszelkich jego nakazów.

— A... czy plany Kosibowicza znalazły się? — spytał Stadnicki.

— Tak, znaleźliśmy je w walizach Borowicza, gdzie ukryte były również i proszki panu, panie inżynierze — zwrócił się Barłamp do Soreckiego.

— Czy być może?! — zawołał uradowany inżynier.

— Mogę je nawet w tej chwili panu doręczyć — uśmiechnął się Oleś, dobywając z kieszeni maleńkie pudeleczko i podając inżynierowi.

— To jest największa przysługa, jaką mi pan mogłeś wyrządzić — rzekł uradowany Sorecki — i ja nigdy tego panu nie zapomnę.

— Przysługa za przysługę, inżynierze. Pan uodporniłeś mnie w Warszawie na działanie hipnotyzmu, kiedy zabierał się do sprawy Borowicza, a to uodpornienie ogromnie mi się przydało.

— Inżynierze — odezwał się doktor Mazurkiewicz. — Zachowaj pan dobrze te proszki, bo mogą się one jeszcze niejednokrotnie bardzo przydać.

— Na wypadek, o ile będziemy zmuszeni jechać do Indii po ów milion w złocie — dodał domyślnie Oleś. — I mam nadzieję, że i pan zabierze się z nami, aby na miejscu, u źródła, że tak powiem, wtajemniczeni indyjskich yogów, pogłębić swoją wiedzę tajemną.

— Oczywiście, najchętniej pojadę — zgodził się inżynier.

Nastrój wszystkich zgromadzonych tu ludzi poprawił się znacznie i nawet dowcipy padać zaczęły na rozmaite tematy, tylko jedna pani Ewa nie mogła pozbyć się zadumy i smutku. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej ukochany Staś, którego kochała przecież zawsze, aż do dnia dzisiejszego i którego nie zapomni nigdy — zapomniał o nich jednak? Pod wpływem tej myśli już miała się zwrócić z zapytaniem do Barłampa, gdy pokojowa oznajmiła wizytę radcy Mikulskiego, sekretarza naszego poselstwa w Kalkucie. — Wszyscy powstali na powitanie niezwykłego gościa. Po wzajemnych zaś przedstawieniach, sekretarz otworzył wielką tekę i dobywszy jakiś pakiet dość dużych rozmiarów, podał ją pani Ewie.

— Zechce pani przyjąć te listy swojego zmarłego męża — rzekł.

— Listy?... Listy od... Stasia? — powtórzyła zdumiona Krupińska.

— Tak, listy od pani męża — powtórzył pan radca. — Znaleźliśmy je w mieszkaniu Borowicza w Kalkucie. Są to listy, które mąż aż do śmierci, co nastąpiło w roku 1917 — pisywał stale do pani i do córki, a które Borowicz, będąc jego sekretarzem, miał obowiązek wysyłać.

— Jednak tego nie robił z wiadomych przyczyn — zauważył Barłamp.

— Tak, pan ma słuszność — przytwierdził pan radca. — Prowadząc wielką grę, nie mógł dopuścić do utrzymywania kontaktu między państwem.

Łzy rozrzewnienia zabłysły na rzęsach pani Ewy, która przyciskała paczkę listów do piersi, nie mogąc słowa wymówić. W końcu jednak opanowała się i rzekła:

— Bardzo — bardzo panu radcy dziękuję. Jest to najmilszy podarek, jaki mogłam otrzymać.

— Obowiązkiem moim było doręczyć te listy pani. Zanim zaś doręczone jej zostaną inne pamiątki po zmarłym, musimy pozostawić cały szereg formalności prawnych, co potrwa czas dłuższy. Między innymi przybyłem tutaj także i po to, aby obie panie podpisały upoważnienie naszemu poselstwu do podjęcia starań o wypłatę spadku po zmarłym Stanisławie Krupińskim, wynoszącym milion funtów w złocie z procentami.

— A zatem — odezwał się Sorecki — wyjazd pań Krupińskich do Indii nie jest konieczny?

— Chwilowo nie, gdyż formalnie poselstwo nasze zajmie się tymi sprawami, ale gdyby zaszła potrzeba osobistego stawienia się w sądzie w Kalkucie, zostaną panie zawiadomione na czas o terminie stawiennictwa.

— Masz babo placek! — zawołał rozgoryczony Barłamp. — A ja sobie obiecywałem cuda po tej wyprawie po złote runo do dalekich Indii.

— Chwilowo musi pan wstrzymać się jednak z bólami — roześmiał się doktor.

— Ot, takie to już moje szczęście.

W miesiąc później w jednym z kościołów łódzkich odbył się uroczysty ślub panny Alicji Krupińskiej z Jerzym Stadnickim, poczem oboje państwo młodzi udali się w podróż poślubną po Europie.

Milionowy spadek wciąż jest jeszcze w trakcie windykacji, a na razie bank indyjski wypłaca tylko procenty od niego.

KONIEC

Już w następnym numerze nowa powieść!!!

Przez łamy naszego tygodnika przewinęło się już szereg różnorodnych powieści. Jedne były spokojne, stonowane, a przykuwające czytelnika głębią treści, inne zaś żywiołowe, pełne sensacyj — frapujące do ostatnich stronic.

Natomiast nie było jeszcze powieści, która zawierałaby w sobie wszystko. To zn. i głębię spraw życiowych i równowagę myślową i sensację wydarzeń i interesującą niezwykle całość.

Taką powieścią będzie „AUTOMAT". Przełożyła ją z francuskiego p. Irena Maciejewska.

Rzecz dzieje się w przepięknej okolicy w starym, przeszło półwiecznym dworze, kryjącym w swym wnętrzu surowe życie sędziwej dziedziczki Presac i jej uroczej, dobrej i dzielnej wychowanki, której życie dziwnie splotło się z dziejami tajemniczego pałacu na Belle Vue i jego właściciela „Automatu".

Pierwszy odcinek tej powieści ukaże się już w następnym numerze „Moich Powieści" i niewątpliwie zainteresuje, porwie do tego stopnia, że każdy będzie ją śledził od początku do końca z zapartym oddechem.

WOJCIECH HOLM

70)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Gdy potem zaprowadzili ich na miejsce walki człowieka z wężem i wskazał im bryłę złota, rzucili się na nią jak dzicy, a jego ściskali z radości tak serdecznie, że mu mało kości nie połamali.

Przez chwilę pomyślał sobie Eryk, dla którego bryła złota przedstawiająca 30 tys. marek wartości, była niczym w porównaniu z jego majątkiem, że Leon byłby szczęśliwym znalazłszy coś podobnego.

Wnet jednak w swojej lekkomyślności pocieszył się tym, że Leon pewnie gdzieindziej będzie miał równe szczęście.

— Czy ty żądasz część tego złota? — spytał go Harispe niespokojnie.

Eryk odpowiedział, że za to, iż tak go ugościli, zostawia im całą zdobycz niepodzielnie.

Zbóje ucieszyli się bardzo, ale po za jego plecyma robili znaki, którymi dawali sobie do zrozumienia, że to musi być wariat.

Z największą chęcią pokazali mu też, gdy tego zażądał, drogę do najbliższego miasta Guyaqualli i pożegnali jak brata.

Pięć dni drogi przebył Eryk wcale znośnie, zwłaszcza, że po drodze natrafiał często na wioski, w których mógł się posilić dobrze i wygodnie przenocować.

W Guyaqualli zajechał do „posady" t.j. do austerii, w której po wypoczynku i posiłku wypytywał się o bankiera Ippolito, do którego miał polecenie.

Kelner, Chińczyk, o głupim wyrazie twarzy długo i szeroko tłumaczył mu, gdzie mieszka sennor Ippolito.

Przysłuchiwał się temu siedzący opodal w szynkowni jakiś młody Meksykanin, który bacznie słuchał o co idzie.

Zbliżył się teraz do stołu Eryka i dotykając ręką kresy kapelusza, rzekł:

— Panie, ten głupi Chińczyk pół dnia panu będzie tłumaczył i nie wytłumaczy. Ja idę właśnie w tamtą stronę, więc pana podprowadzę.

Nie było w wyglądzie Meksykanina nic takiego, coby budziło szczególną nieufność, to też Eryk zgodził się chętnie na to i poszedł z nieznajomym.

Uderzyło go tylko to, że gdy Murzyn otwierał drzwi bankiera, sennor Hermandad, gdyż tak się nazywał usłużny Meksykanin, koniecznie chciał wejść także, tylko, że Murzyn, wpuściwszy hrabiego, jemu zatrzasnął drzwi przed nosem.

Sennor Ippolito, przeczytawszy polecenia i legitymacje hrabiego, okazał się bardzo usłużnym i chętnie wydał na weksel żądaną sumę.

Zgarniając banknoty, Rauch mimowoli spojrzał w okno i zobaczył przyciśniętą do szyby twarz Hermandada.

To wzbudziło jego podejrzenie.

To też wychodząc przekonał się, czy pistolety ma w porządku.

— Myślałem, że pan pójdzie za swoimi interesami? — rzekł zdziwiony do Meksykanina.

— Obawiałem się, czy pan trafi na powrót do „posady" — odparł Hermandad — więc wolałem poczekać na pana.



Głośna para niemieckich tancerek popisuje się w tańcu regionalnym.

— A to i lepiej — rzekł przezornie Eryk — jest nas dwóch, więc będziemy bezpieczniejsi w razie jakiego napadu. Na każdy wypadek mam dwa nabite pistolety — dodał groźnie.

— A ja jeden — odrzekł obojętnie Meksykanin — pomogę panu się bronić.

W posadzie zastali szynkownię pełną, a Hermandada witano krzykliwie.

On przedstawił Eryka jako swego przyjaciela i wciągnął go do towarzystwa.

Eryk kazał podać najlepsze wino, jakie było w posadzie, a później nieco podchmielony dał się namówić do gry w karty.

Z początku nie szło mu i przegrywał raz po raz.

Zachęceni tym towarzysze podnosili stawkę i zatapiali się w grze coraz namiętniej.

Eryk zbyt lubił grę i zbyt wiele pił na to, aby się opamiętać i spojrzeć na roznamiętnione miny trzech towarzyszy.

Nie pamiętał zaś o tym już wcale, gdy szczęście nagle się zwróciło i sam zaczął wygrywać.

Izba szynkowna powoli się wypróżniała, aż nareszcie zostali tylko oni czterej i w kącie przykucnięty Chińczyk.

Meksykanie z płomienną zawiścią spoglądali na Eryka, jak ze spokojem zgarniał wygrane pieniądze.

Grali jednak dalej, a szczęście niezmiennie pozostawało przy Eryku.

Nareszcie nadeszła chwila, gdy naprzód jeden Meksykanin, potem drugi i trzeci sięgnąwszy do kieszeni, znaleźli ją pustą.

— Łotrze! — wrzasnął nagle Hermandad z wściekłością — oszukiwałeś nas!

— Złodzieju! — zawołał drugi — oddaj nam nasze pieniądze!

— Pieniądze albo życie, zawołał trzeci i Eryk ujrzał zwrócone przeciwko sobie trzy pary błyszczących oczu i trzy sztylety.

Cofnął się, a widząc, że napastnicy rzucają się za nim, dobył pistoletu i strzelił przed siebie na oślep.

Okrzyk wściekłości, jakby z ust zranionego — potem ktoś pogasił świece w mgnieniu oka i Eryk uczuł, jak go chwyta czworo silnych ramion i ktoś wyrywa mu z rąk pistolet.

Zaledwie zdołał jeszcze lewą ręką dobyć sztyletu i wymierzył nim na ślepo silny cios.

Uczuł, że ostrze ugrzęzło w czymś miękkim i że mu rękę zalała ciepła posoka, jakby krew.

Wtem silne bardzo uderzenie w piersi powaliło go na ziemię.

Padając bez przytomności na ziemię, przez pół sekundy tylko, zanim go zamroczyło, zdawał sobie sprawę z tego, że to jego ostatnia godzina.

ROZDZIAŁ CCLXII.

Pod złym adresem

Nie było w pałacu Dornbruch człowieka, któryby się nie gorszył życiem i czynami Egona. Wszyscy byli oburzeni na to, że tuż po śmierci teściowej żył tak samo rozwiźle, jak przedtem, najbardziej zaś odczuwał to hrabia Dornbruch.

Ada była z natury zimna i egoistyczna; gdy pierwszy paroksyzm żalu po matce minął, wróciła do codziennej równowagi.

Dwie tylko osoby nienawidziła w głębi duszy. Męża i rudego Petöfiego. Męża za to, że tak mało się liczył z żałobą po szlachetnej zmarłej. Petöfiego za to, że tak sobie prędko pozyskał jej względy.

Do Mali pozostawała w dziwnym stosunku. Mimo pychy, z jaką odnosiła się do służby, wobec niej była jakby zależna. Mala zaś zbyt była szlachetna, by to wyzyskiwać i zachowywała się tak skromnie i uległe, taka była czynna i uczynna, że Ada w duchu musiała nazywać ją perłą.

Hrabia Dornbruch, całej służbie na pamiątkę po zmarłej, dawał hojne podarki, Emie i Mali zaś książeczki oszczędnościowe z sumą po trzy tysiące złotych.

Mala myślała, że to omyłka i wzruszona była, gdy jej hrabia powiedział, że wszystko jest w porządku, i że w ogóle wierności jej, jaką okazała w czasie choroby nieboszczki, nie da się opłacić pieniędzmi.

Tymczasem Piotr Petöfy nie chciał się dać odprawić z kwitkiem i gdy trzy razy już Ada go nie przyjęła, napisał do niej bilet pełen gorących wyznań miłosnych i posłał przez służącego.

Egon wychodził właśnie do Grety, gdy służący rudego księcia wchodził do pałacu.

Odebrał od niego bilet i odesłał służącego mówiąc:

— Już ja sam bilet ten oddam.

Wrócił do mieszkania i kazał sobie podać herbatę, ku wielkiemu zdziwieniu służącego, któremu pierwszy raz w życiu się zdarzyło, żeby mu przed obiadem kazano przynosić herbatę.

W kuchni, gdzie kucharzowi oznajmiał, że baron kazał nastawić samowar, dodał złośliwie:

— Dostał jakiś list od kochanki i tak mu się słabo zrobiło, że sobie każe robić herbatę. Musiała go pewnie naciągnąć na kilka tysięcy!

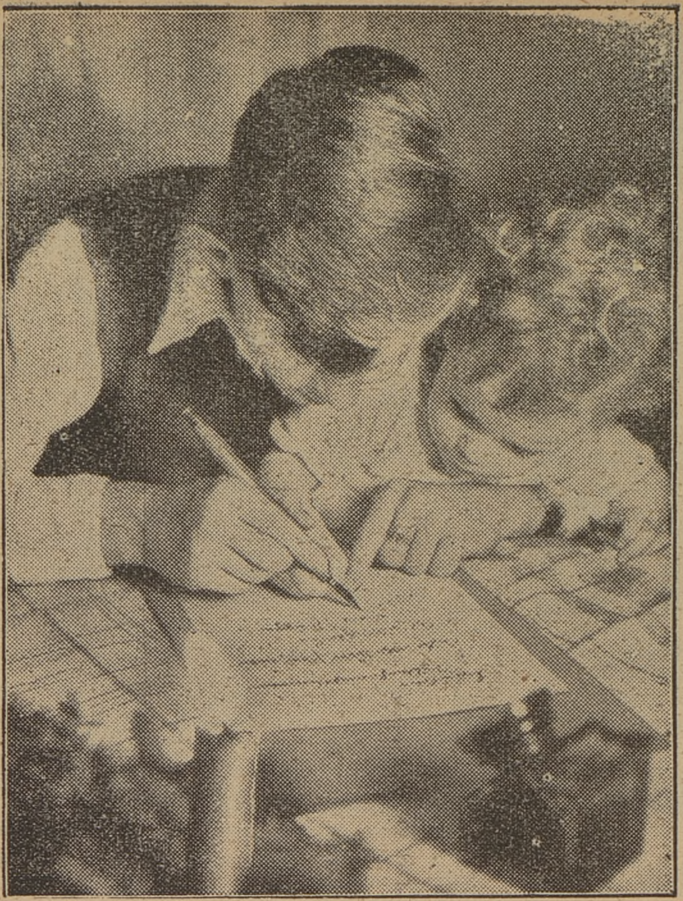
Służba, która nie lubiła barona, wybuchła homerycznym śmiechem, Mala tylko natychmiast zerwała się z miejsca i niespostrzeżenie wymknęła się do portiera.

U niego dowiedziała się, że służący miał list do baronowej i że chciał go oddać Mali, lecz baron sam go odebrał.

Mala natychmiast domyśliła się wszystkiego.

Widocznie baron chce list trzymać nad parą wznoszącą się z kipiącego samowara, aby go, nie uszkadzając, otworzyć!

Nie tracąc ani chwili, pobiegła Mala na ulicę i wsiadłszy na dorożkę kazała się zawieźć pod dom, w którym mieszkał książę.



Pierwsza lekcja...

Tam pobiegła szybko na górę i nie czekając, aż książę zapyta o co idzie, rzekła:

— Ekscelencja pisał list do mojej pani. Treści się domyślam, lecz list przyjął pan baron i z pewnością go otworzy. Czy ekscelencja wymieniał tam imię pani baronowej?

— Nie! — odpowiedział rudy książę, zdziwiony i przestraszony.

— W takim razie proszę zaraz usiąść i napisać do mojej pani drugi bilet, obojętnej treści i przysłać go do naszego pałacu z zapewnieniem, że stała się omyłka, że list poprzedni poszedł pod złym adresem.

— Ależ panienka jest chytra! — zaśmiał się książę zadowolony. — Ale co to panienkę skłania do tego, żeby wyświadczyć taką przysługę mnie i baronowej?

— Miłość do zmarłej pani i nienawiść do barona! — odpowiedziała prędko Mala i w pośpiechu zeszła napowrót do dorożki.

Zanim niechętna baronowi służba przyniosła mu samowar i zanim baron był gotów z rozpieczętowaniem listu, Mala zdążyła wrócić i ostrzec Adę, aby się zachowała naiwnie, udawała, że nic o tym nie wie i wszystkiemu przeczyła.

Za chwilę do apartamentów Ady z furią wpadł baron, trzymając w ręku papier.

— Precz! — zawołał, zobaczywszy Malę przy żonie.

— Mala zostanie! — odpowiedziała spokojnie Ada.

— Każ jej odejść! — groził baron — jeżeli nie chcesz, żeby dziewka była świadkiem twojej kompromitacji.

— O mojej kompromitacji, nie może być mowy, a co do dziewek, to ty tylko przebywasz w ich towarzystwie! — zawołała baronowa. — Przykład: twoja Greta! Mala jest uczciwsza i rzetelniejsza!

— Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o mojej własnej żonie! — wycedził baron z gryzącą ironią, rzucając jej w twarz list Petöfiego.

— Pan się zapomina, panie baronie! — wyrzekła Ada dumnie — będzie mi przykro, jeżeli będę musiała poprosić ojca o obronę przeciwko pańskiej brutalności.

— A czy będziesz miała odwagę przyznać się ojcu do wszystkiego? — spytał ironicznie Egon.

— Nie zrobiłam nigdy nic takiego! — odpowiedziała Ada tak spokojnie, że Mala ją podziwiała — do czego nie mogłabym się przyznać.

— A to? — spytał baron, podnosząc list z ziemi i pokazując go z triumfem.

Ada przeczytała list spokojnie i ruszyła ramionami.

— To nie do mnie! — rzekła obojętnie — tak do mnie nikt by się nie ważył pisać, najmniej książę Petöfy, znany z taktu i elegancji. Musiała tu zajść omyłka.

Jakby na potwierdzenie jej słów, otworzyły się drzwi i wszedł służący, oznajmiając księcia Petöfiego, a tuż za nim swobodny i wesół wszedł sam rudy książę.

— Zanim się ośmielę przywitać — rzekł z uśmiechem — niech mi wolno będzie stokrotnie przeprosić panią za fatalną omyłkę, której padłem ofiarą. List, który przed chwilą wysłałem był do pani, poszedł pod złym adresem i zupełnie dla innej osoby był przeznaczony.

— Takie omyłki adresów — wtrącił wzburzony Egon — zdarzają się tylko w dramatach. W życiu nikt w to nie uwierzy!

— Czy pan baron chcesz przez to powiedzieć, że ja kłamię? — spytał Petöfy, prostując się groźnie.

— Czy książę chcesz znowu zaplątać się w pojedynek, po którym masz tak niemiłe wspomnienia? — odparł ironicznie baron.

Mala, widząc, że sytuacja staje się coraz groźniejsza, wymknęła się i pobiegła po hrabiego Dornbrucha, a po drodze opowiedziała mu tyle, aby go oburzyć na Egona, który kompromituje biedną, niewinną Adę.

Stary hrabia, oburzony już i tak na Egona za jego nieludzkie zachowanie się w czasie żałoby, zapałał gniewem.

Nareszcie mamy przyjemność raz przecie zobaczyć w domu pana zięcia? — przywitał go cierpko, wchodząc.

— Żona moja — odparł niezmieszany Egon, tak się umie pocieszyć z innymi, gdy mnie nie ma, że muszę wątpić, czy obecność moja jest w domu pożądana. Proszę, oto dowód — rzekł podając hrabiemu list. — Rzecz dowiedziona i szyję za to daję, że to pismo księcia.

— Ależ baron źle to pojmuje — rzucił książę — nigdy nie przeczyłem, że to moje pismo. Stryjenka moja szuka pokojówki — opowiadał dalej, zwrócony do hrabiego. — Wiedząc o tym, że po śmierci ś. p. pani hrabiny, jedna z pokojówek państwa jest do wzięcia, ośmieliłem się zapytać, czy mogę ją zgodzić dla stryjenki. To napisałem na tym oto bilecie.

Tu pokazał hrabiemu bilet, który wyjął z kieszeni.

— Jakież było moje zdziwienie, kiedy przed chwilą bilet ten odebrałem z dopiskiem na kopercie: „Pod złym adresem". Uświadomiłem sobie natychmiast, że list skierowany do owej osoby, która mi zwróciła ten bilet, dostał się także pod złym adresem, właśnie do pani baronowej, i przybyłem natychmiast tutaj, aby najmocniej przeprosić. Mam nadzieję, że mi pan hrabia, jako prawdziwy szlachcic — uwierzy na słowo kawalerskie.

— Wierzę panu najzupełniej — rzekł hrabia, podając mu rękę.

Książę skłonił się nisko, rękę baronowej ucałował z szacunkiem, Egonowi chłodno się skłonił na pożegnanie i wyszedł.

— Zapomniałeś się, pan! — zwrócił się hrabia surowo do Egona. Postąpiłeś pan niegodnie, otwierając cudze listy, nieszlachetnie posądzając żonę. Sądzę, że będzie najlepiej, jeżeli pan na czas pewien udasz się na wieś, do swoich dóbr.

— Ani mi się śni, zagrzebywać się na wsi! — zawołał Egon — jeżeli pan mnie wypędza z domu, wyprowadzę się do hotelu!

— To niemożliwe — odpowiedział hrabia — bo dałoby powód do plotek. W takim razie, możesz pan zostać w naszym pałacu, ale my dla siebie pozostaniemy ludźmi obcymi.

Pożegnał go ukłonem, pełnym wyższości i Egon wyszedł wściekły.

Hrabia ucałował córkę, nie starając się jej pocieszyć i ze smutkiem, ale z godnością, wrócił do swoich apartamentów.

Ada została sama.

Zrazu była jakby oszołomiona niebezpieczeństwem, które wisiało tuż nad jej głową.

Po dobrej chwili dopiero, uporządkowawszy myśli, przekonała się, że przed kompromitacją uchroniła ją tylko Mala sprytem swoim.

Zawołała ją do siebie i obejmując jak swą siostrę spytała:

— Dlaczegoś ty mi okazała tyle serca i przywiązania? Dlaczego nie zawahałaś się przed niczym, aby mnie uratować?

— Z miłości i czci dla nieboszczki pani — odpowiedziała Mala.

Ada, ta dumna i tak dla służby przykra dawniej, ucałowała ją, jak siostrę, potem podeszła do biurka i dała jej plik banknotów.

Mali łzy wzruszenia stanęły w oczach.
Nie pieniędzmi się cieszyła.

Wstępując do służby przysięgała Adzie nienawiść. A oto teraz wyrządziła jej przysługę, jak najlepszej przyjaciółce. Wzbierało w niej tak do łez uczucie szlachetnej zemsty.

. . . .

Rudy książę tymczasem kazał się zawieźć do stryjenki, matki czarnego Piotra, sparaliżowanej księżnej Petöfy.

— Czemuż mam przypisać niespodziewaną przyjemność oglądania ciebie? — spytała księżna wcale nie uprzejmie.

Pamiętała jeszcze całą sprawę z Gellinim, która jej sprawiła tyle zmartwienia.

On byłby się jej też nie pokazywał na oczy, gdyby nie obawa, że Egon mógłby się dowiedzieć, czy to jest prawda, że jego stryjenka poszukiwała pokojówki.

Chciał go więc uprzedzić i przybrał najsłodsze miny, przybywszy do chorej księżnej.

Mówił, że przybył ją właśnie przeprosić za przykrości. Zapewniał, że nigdy na serio nie byłby mierzył do kuzyna itd. itd. Na dowód, jak troskliwie pamiętał o stryjence opowiedział, że u Dornbruchów jest wolna pokojówka, która wsławiła się wprost tym, jak świetnie pielęgnowała nieboszczkę hrabinę, że on, usłyszawszy o niej, przypomniał sobie zaraz, że stryjence, stara garderobiana już nie wystarczy i pomyślał sobie, że ta pokojówka bardzoby się stryjence przydała.

Księżna, osoba z natury dobra i łagodna, przebaczyła mu prędko, a propozycją, co do pokojówki, ucieszyła się bardzo. Postanowiła nawet wysłać swoją garderobianę do pałacu Dornbruchów, żeby się z tą pokojówką umówiła.

Rudy książę osiągnął w ten sposób cel swej wizyty, ale zbyt był ostrożny i dobrze wychowany, aby zaraz się zabierać do domu. Dotrzymywał stryjence towarzystwa jeszcze przez kilka godzin, a potem dopiero wesół i zadowolony, wrócił do miasta.

ROZDZIAŁ CCLXIII.

Podczas, gdy takie rzeczy działy się w pałacu Dornbruchów, Jan, służący markiza de Lorme, starał się usilnie okazać, że zaufanie, jakie w nim pan jego pokładał, jest usprawiedliwione i że on rzeczywiście jest sprytny i rozsądny.

Już nazajutrz był w mieszkaniu Jetki, ale szwaczki nie zastał w domu. Nie chciał się dopytywać, czy jaką młodą damę odprowadzała szwaczka do sanatorium, bo obawiał się, że jej to opowiedzą i że ona z nieufnością będzie się odnosić do niego.

Poszedł więc z niczem, ale nazajutrz wrócił tam znowu.

Tym razem lepiej mu się poszczęściło. Jetka siedziała przy maszynie i szyła.

I ona czytała anons adwokata Eisenharta, i dużo o tym myślała.

Gdy Jan wszedł, przypominała sobie anons mimowoli i zdawało się jej, że ten przybysz jest z nim w ścisłym związku.

Patrzyła więc na niego z nieufnością, choć nie zdawała sobie sprawy dlaczego.

Przybysz jednak zachował się bardzo obojętnie.

— Czy pani mogłaby mi uszyć sześć koszul? — zapytał grzecznie.

— Mogłabym —, odpowiedziała Jetka — ale nie chcę.



Przy pracy...

— A to dlaczego, proszę pani?

— Bo panowie kupujecie sobie jakiś podły szyrting, zamiast porządnego szyfonu, a potem, jak po praniu krochmal zlezie i widać jaka to ordynarna materia, to myślicie, żem was oszukała. Na co mi to, żeby ktoś myślał, żem go oszukała? Wolę nie robić.

— O! — zapewniał Jan — to ja do tych nie należę. Ja wiem, że takie rzeczy, jak zakup materiału, trzeba damom zostawić. Proszę! — rzekł, kładąc na maszynę banknot — niech pani będzie łaskawa kupić mi szyfon.

— A! tak, to co innego — odpowiedziała Jetka już o wiele grzeczniej — pan jest kupcem? — spytała gadatliwie.

— Nie — odpowiedział Jan — ja jestem służącym wielkiego pana. On jest taki bogaty, że mógłby kupić sobie pół Wiednia.

— Szczęśliwy człowiek — westchnęła Jetka na myśl, o tak wielkich bogactwach.

— Wcale nie szczęśliwy — odpowiedział Jan.

— Może już stary i niedołężny? — zapytała ciekawie Jetka.

— Gdzie tam stary! — śmiał się Jan — młody i taki ładny, że się dziewczęta oglądają za nim na ulicy.

— A może w miłości jest nieszczęśliwy? — spytała Jetka zaciekawiona.

— Ale to pani od razu zgadła! — zdziwił się Jan — właśnie kocha jedną panienkę z biednego stanu i nie może się z nią połączyć.

— A, to pewnie już żonaty! — domyśliła się Jetka, tak, to co innego!

— Wolny jest! — zapewniał Jan.

— A to dlaczego? — zdziwiła się Jetka — dlaczego ona nie chce wyjść za niego?

— Możeby i chciała — odpowiedział służący — tylko, że on się nie może ją o to zapytać.

— Dlaczego nie może? — zdziwiła się Jetka — czy on jest niemy?

— Ale gdzie tam! — śmiał się przybysz — mówi świetnie.

— Dlaczegoż więc nie może jej się zapytać?

— Bo nie wie, gdzie ona jest.

— Masz tobie! — zdziwiła się szwaczka — a jak ona się nazywa?

— Ida Steinert.

— Ida?! — krzyknęła szwaczka — i w niej się kocha taki bogaty pan?

— A pani ją zna?

— Czy ją znam!? O tu, na tej kanapie spała zawsze, jak u mnie była! — zawołała Jetka i po chwili dopiero opamiętała się, że może powiedziała za wiele.

Postanowiła też sobie za nic w świecie nie zdradzić adresu Idy.

— A gdzie ona jest teraz? — zapytał Jan.

— Nie wiem! — odparła natychmiast. — Podziała się gdzieś bez śladu.

— A to szkoda! — żałował przybysz — bo mój pan hojnie by wynagrodził tego, ktoby mu podał jej adres. O, nie żałowałby złota.

— A jak się wasz pan nazywa? — spytała Jetka.

— Markiz de Lorme.

— Nigdy mi o nim nie opowiadała — przypomniała sobie szwaczka —, a czy ona go znała?

— Bardzo dobrze. I z pewnością by się cieszyła, gdyby go mogła zobaczyć.

Jestka spojrzała nań badawczo.

Przemknęła jej myśli, że to może jakiś szpieg, wysłany przez aptekarzową, która chce od niej wydobyć tajemnicę pobytu Idy.

— Pan markiz — mówił dalej Jan — zapewnił, że osobie, która mu ułatwi znalezienie panny Idy, da rentę dożywotnią 500 reńskich rocznie.

Ładny grosz dla takiej biedaczki, jak ja — pomyślała sobie Jetka, a głośno dodała — szkoda, że nie mogę tego zrobić!

Chytry Jan postanowił dziś już nie nalegać.

— Kiedy mam przyjść po koszule? — spytał.

— Musi mi pan przynieść jedną na miarę — odpowiedziała Jetka.

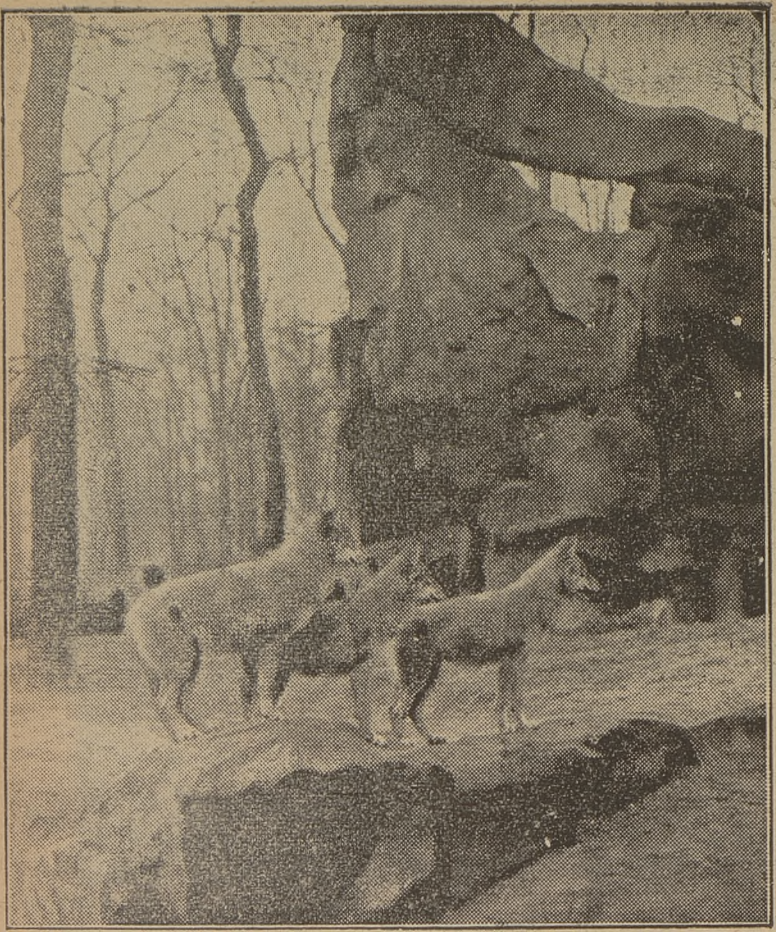
— Jutro?

Jetka namyślała się.

— Nie — rzekła — jutro, ani pojutrze nie będzie mnie w domu. Dopiero w niedzielę.

Jan pożegnał się i poszedł.

Ledwie się za nim zamknęły drzwi, wstała Jetka od maszyny i wyjęła papier listowy.



Wilki w berlińskim Zoo.

Pisała do Idy.

Przepraszała ją, że teraz dopiero jej odpisuje i opowiedziała o wizycie Jana. Pytała się, czy Ida zna markiza de Lorme i czy ona dobrze zrobiła, że mimo swej biedy pogardziła rentą dożywotnią, lub w każdym razie wynagrodzeniem hojnym, a nie zdradziła jej adresu. Potem zapieczętowała list i odesłała go na pocztę.

Ida zarumieniła się, przeczytawszy list szwaczki i pokazała go zaraz pani Herbert.

Staruszka nie posiadała się z radości i kazała Idzie zaraz siąść i odpisać.

Ida bowiem miała wątpliwość, czy nie będzie to narzucaniem się, jeżeli poda markizowi swój adres.

Leśniczyna wyperswadowała jej wszelkie skrupuły i Ida odpisała Jetce tymi słowy:

Kochana panno Jetko!

Ucieszyłam się bardzo, otrzymawszy nareszcie znak życia od pani. Bałam się już, czy pani nie jest chora i bardzo byłam niespokojna. Ogromnie się też uradowałam, widząc z listu, że pani zdrowa i na mnie się nie gniewa. Pana markiza de Lorme znam bardzo dobrze. To jest człowiek honorowy, można mu ufać w zupełności.

Serdecznie panią pozdrawiam, zawsze wdzięczna Ida.

Pani Herbert sama list ten zaniosła na pocztę, a wróciwszy do domu, cieszyła się tak, że Ida była wzruszona jej dobrocią.

Niemniej ucieszyła się Jetka, gdy dostała odpowiedź.

Nie przypuszczała wprawdzie, żeby markiz na serio miał jej dać rentę dożywotnią i to aż 500 reńskich, ale spodziewała się wcale sutego wynagrodzenia.

Bardziej zaś cieszyło ją to, że Ida, którą bardzo lubiła poczciwina, zrobi takie szczęście i na złość Hajowej będzie żoną markiza i wielką panią.

Z cierpliwością wyczekiwała też niedzieli.

W niedzielę rano wyglądała przybycia Jana tak niecierpliwie, że wybiegała co chwila, pod jakimś pozorem na bramę.

Jana jednak nie było widać, a skutek tego wyczekiwania był taki, że rosół był przesolony, mięso spaliło się na węgiel — w ogóle cały obiad był popsuty, co popsuło humor Jetki do niemożliwości.

Po obiedzie szwaczka zwykła była w niedzielę kłaść się, aby się zdrzemnąć. Położyła się i dziś, ale jakoś nie mogła zasnąć. Kręciła się na kanapie przez dziesięć minut, wreszcie zła jak diabeł, zerwała się i usiadła przy oknie.

Patrzyła i patrzyła, ale Jana jak nie widać, tak nie widać.

Nareszcie straciła już nadzieję, że go zobaczy. Robiła sobie wyrzuty, że od razu nie powiedziała mu adresu Idy, to znowu przychodziło jej na myśl, że może Jan wziął ją tylko na kawał i już się nie pokaże.

Przypomniała sobie jednak, że pozostawił jej przecie dziesięć reńskich, które w najgorszym razie zechce odebrać.

Wszystko jednak wyglądało tak, że Jan po pieniądze więcej nie przyjdzie.

Ściemniało się i zrozpaczona Jetka nie miała już nadziei zobaczenia go, gdy w tym zapukał ktoś lekko do drzwi.

Był to Jan.

Wszedł z miną — zdawało się — obojętną i wyciągnął pakuneczek.

— Przyniosłem koszulę próbną na miarę — rzekł z miną taką, jak gdyby go tu nic innego nie sprowadzało.

Jetka już nie mogła wytrzymać.

— A gdzie moja obiecana nagroda? — spytała ze złością prawie.

— A ma pani adres panny Idy Steinert?

— Mam — odrzekła Jetka — ale gdzie moja nagroda?

Jan wyciągnął z kieszeni jakiś papier.

Był to akt notarialny, mocą którego markiz de Lorme obowiązuje się płacić jej rentę dożywotnią.

Jetka nasadziła okulary i przeczytawszy akt, rzuciła się Janowi na szyję.

— Niechże mi pani da ten adres — zawołał Jan, uwalniając się z uścisku, nie bardzo już uroczej panny, kontent z tego, że ona zmuszona napisać adres, wypuści go z objęć.

Gdy zaniósł adres markizowi, ten nie posiadał się z radości.

Przyrzekł, że go hojnie wynagrodzi i czympręDzej kazał mu przygotować wszystko do wyjazdu do Petershagen.

Tam zaś z bijącym sercem oczekiwała go piękna Ida, którą pani Herbertowa na przyjęcie spodziewanego gościa wystroiła w nową suknię i zachwycała się jej pięknością.

ROZDZIAŁ CCLXIV.

W New - Limmerick

Między źródliskami Ottawy w Górnej Kanadzie znajdowała się osada New-Limmerick.

Była to nędzna wieś, złożona z 20 najwyżej domów, otoczonych czestokołami.

Na ulicy tłoczyło się tu i ówdzie bydło, wśród którego, bawiły się zaniedbane brudne dzieciaki, a mieszkańcy pracowali tyle, że ledwie mogli się wyżywić, aby nie zginąć z głodu.

Przeważnie zaś wylegiwali przed domami, palac fajki, albo wysiadywali w szynku i pili, jak długo mieli pieniądze, lub na kredyt. Kobiety rozmawiały i kłóciły się, a gospodarstwo tonęło w nieporządku i brudzie.

Co można było przytoczyć na ich usprawiedliwienie , to to, że ziemia tam była nieurodzajna. Tu i ówdzie tylko udało się pomiędzy bagnami, znaleźć kawał suchej ziemi, gdzie rosły kartofle i zboże.

Do tej zapadłej wsi, pełnej nędzy, brudu i próżniactwa, przybyło pewnego dnia trzech podróżnych, na pięknych rosłych koniach.

Jeden z nich był olbrzymi, tęgi blondyn, drugi zwracał na siebie uwagę, nader smutnym wyrazem twarzy. Trzeci mniejszy był od tamtych i młodszy, a piękny jak dziewczynka.

Dla mieszkańców New Limmerick było to zdarzeniem bardzo rzadkim, że ktoś do nich przyjeżdżał.

To też wyszli wszyscy na ulicę i obstapili przybyszów, przypatrując się im z zajęciem.

— Jest tu u was karczma? — zapytał ich blondyn.

— Karczmy by u nas nie było? — odpowiedział jeden z tłumu, prawie oburzony przypuszczeniem, że oni mogliby żyć bez szynku. — O tu, gdzie wisi ta zielona buteleczka.

Podróżni zsiedli z koni i weszli do izby szynkowej, gdzie usiedli sobie przy oknie, tak, żeby mieć oko na konie i przywiązane do siodeł bagaże.

Kazali sobie zrobić herbatę, którą im gospodarz przyniósł w nadtłuszczonym garnku i pili ją, otoczeni tłumem ciekawej gawiedzi.

Ciąg dalszy na str. 153.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

KONIECZNIE!

„Przedwiośnie" Piszesz mi, Dziecino, że Twój obecny adres jest tylko aktualny do połowy lutego — czy wyjeżdżasz na stałe? Koniecznie musisz mi przysłać nowy swój adres i opisać wszystkie wrażenia doznane w drodze i już na miejscu.

Nie wolno Ci też zapomnieć, że masz dobrą przyjaciółkę — opiekunkę i mnóstwo życzliwych Ci osób w „Krainie". Życzę Ci dużo przyjemności i przechodzę do komunikatów:

„Białą Uajali", „Czarnego Hajduczka" i „Zuch dziewczynę" — mocno całuję.

„Mała Konwalijko" — Renia mi tyle dobrego o Tobie opowiadała. Jestem Ci b. życzliwa, „Konwalijko". Ślę Tobie dużo dobrych, cichych słów i... uśmiechnij się Maleńka.

„Bajko" — a wiesz dlaczego? Bo dużo o Tobie słyszałam. Ty jesteś Ireczką O. z B. woj. łódzkiego. Prawda? A wiesz, że ja również długi czas byłam harcerką, i uczestniczką Zlotu w Spale, z którego mam moc miłych wspomnień i pamiątek, oraz przemiłego korespondenta — Rumuna. Miło pozdrawiam!

Całej „Kraince" — serdeczności, a „Roześmianej Gence" — buziaczka. „Czarnej Rysi" również. „Heńkowi" — dużo uśmiechów.

„Jurku — W-wa." Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! Wkrótce ujrzycie mnie w Warszawce. Pa!!!

ZASTRZEGAM I ODPOWIADAM

„Samotny — Chorzów I." Nie chce Panu sprawić przykrości, ale muszę wyznać, że mam z Panem najwięcej kłopotu! Żadne z „Krainiaków" nie ma tyle pretensyj i żądań, ile Pan. Ponieważ tych pytań jest w każdym liście masami, przeto pozwoli Pan, że i ja wysunę pewne zastrzeżenia. Więc przede wszystkim proszę o pisanie na papierze takim, na którym pismo nie zalewa i jest czytelne, bo z tych różowych kart z wielkim trudem odczytuję treść. Dalej życzę sobie, aby listy do „Krainiaków" przysyłał mi Pan w zaklejonych kopertach, na których winny być wypisane pseudonimy. Rzecz jasna, że do każdego takiego listu musi być dołączony, znaczek.

Ponadto wymagam, aby zechciał Pan przestać monitować mnie w sprawie braku odpowiedzi „Krainiaków" na listy Pana. Przecież nie mogę wywierać presji na nich, by odpowiadali Panu natychmiast. Zresztą życie „Krainy" ma cechy wyłącznie towarzyskie i nikt nikogo nie zmusza do korespondencji, na którą nie ma ochoty. A Pan wylicza mi pseudonimy i daty wysłania do nich listu i czyni mnie nieledwie odpowiedzialną za brak odpowiedzi.

Nie rozumiem, dlaczego mieliby „Krainiacy" tak spontanicznie Pana wyróżniać, o ile wiem, to bez tego otrzymuje Pan dużo więcej listów od innych. Na sympatię i przychylność trzeba sobie zasłużyć, a nie zdobywać ją par force, bez oglądania się na to, czy danym jednostkom odpowiada narzucana znajomość lub nie!

Ponadto wymawiam sobie wyliczanie mi, że taki „Eros", czy inna „Blanka", albo li „Przedwiośnie" ma częstsze i dłuższe odpowiedź i od innych. Gdyby Pan potrudził się na tyle, aby przestudiować życie „Krainy" od jej początku lub przynajmniej dwa lata wstecz, przekonałby się Pan łatwo, że taka „Biała Uajali", „Stella Maris", „Eros", „Wenus", „Mała Konwalijka", „Maleńka Dzidzi", „Lawrence" „Bajka", „Ryśka D". i długi szereg innych — są patrycjatem „Krainy" i sporo mają w niej zasług. Jakże nie zwracać się do nich tkliwie — przecież oni, to „Kraina", to jej kształt i duch, a reszta, to młode pokolenie, rzecz byłoby można przyrodnie rodzeństwo, które zostaje serdecznie przyjęte i wciągnięte w ich grono.

Czy myśli Pan, że gdyby jeden głos podniósł się sprzeciwem, gdy przyjmuję nowego członka „Rodziny" — czy myśli Pan, że wmusiłabym tego członka „Krainie"?

Nie wie Pan? To mu powiem, że poddałabym jego akces i... akceptację ogólnemu głosowaniu i może mi Pan wierzyć, że głos starych (nie wiekiem, lecz przynależnością do „Rodzinki") „Krainiaków" zaważyłby najbardziej. To jest sprawa jasna i twarda i nie ma z nią idei walczyć!!!

A teraz przechodzę do odpowiedzi na Pana pytania:

1) Więc, abym mogła umieścić Pana fotografię w „Krainie" — musi być wykonana na błyszczącym papierze, u dobrego naturalnie fotografa!

2) Przesyłanie pisma pod opaską na bezpośredni adres Pana kosztuje miesięcznie 1,50 zł. (Potwierdzenie niniejszego znajdzie Pan na ostatniej stronie „Moich Powieści" w rubryce „Przedpłata".)

3) Wszystkich Pana komunikatów nie mogę przedrukować, bo Pan wyliczasz połowę pseudonimów „Krainki". Starczy przecież wezwać „Krainę" do korespondowania, a już kto będzie chciał, napisze do Pana.

4) Życzenie Pana, aby nowowstępujący Sympatycy koniecznie podawali swój wiek, wygląd, miejsce urodzenia i cel korespondencji — uchylam. Wiek i wygląd jest nam obojętny, gdy charakter adepta jest szlachetny i prawy; miejsce urodzenia nic nam nie powie i nie da, a cel znany jest każdemu przy wstępowaniu. „Kraina" w swym założeniu nie ma celów matrymonialnych i „Krainiacy" to wiedzą, a że niekiedy pokocha się dwoje naszych Sympatyków i pobierze, no, to i w biurze pobiorą się czasem kolega z koleżanką, co nie dowodzi, że wszyscy współpracownicy muszą uczynić to samo!

5) Projekt urządzenia zjazdu całej „Rodzinki" w Żninie. To sądzę, jest też niewykonalne, bo „Krainiacy" są rozsypani po całej Polsce, a także mieszkają za granicą i gdzie im tam do tak dalekiej i kosztownej wycieczki!

Jednakże poddaję ten projekt ich rozwadze i czekam na wypowiedzenie się.

6) Nie rozumiem, o jakie „spostrzeżenia nad Pana charakterem" chodzi Panu. Nie podejmuję się stawiania Panu horoskopów ani na przyszłość, ani na teraźniejszość, bo to do mnie nie należy i nie ma racji bytu w „Krainie".

7) Termin nadsyłania rozwiązania zadań z „Chwili zastanowienia" przesunęłam na życzenie Pana do piątku. Czy to Pana nie zadowoliło?

8) Listy nadesłane przesłałam, z wyjątkiem tych pseudonimów, których adresów nie posiadam.

9) Zapytania i listy odnoszące się do któregoś z naszych pism kierować na adres poszczególnego pisma. To znaczy, osobno do „Moich Powieści", osobno do „Mojej Przyjaciółki" i osobno do „Il. Kuriera Pałuckiego".

10) Sprawy związane z abonamentem załatwia nasza administracja. Adres: Administracja Zakł. Wyd. A. Krycki — Żnin.

11) Książkę kucharską otrzyma Pan wraz z 4-tym numerem „Mojej Przyjaciółki" przy końcu lutego.

12) Wiersze i nowele swoje może Pan nadesłać Wujkowi Januszowi do oceny. Ten na ostatniej stronie ostatniego Pana listu bardzo słaby — nie zamieścimy.

Na zakończenie podaję, że całej „Krainie" zasyła Pan dużo serdecznych pozdrowień i uścisków i krzyczy im Pan: „Piszcie do mnie — odpowiedź żelazo - betonowa"!

GŁOS Z BYDGOSZCZY

„Samotna Dusza". Pozwalam mówić do Was, „Krainiacy", nowej naszej Siostrzyczce:

„Halo! tu ja która naprawdę czuję się samotna i tak smutno mi, mimo, że otacza mnie ruch i gwar dużego miasta.

Jedyną moją radością jest kino i gra o zmroku na pianinie. Życie płynie mi monotonnie choć jestem jeszcze młoda, bo liczę 22 lata.

Lubię ciszę i samotność. Kocham to, co kochania warte. Korespondencja z kimś naprawdę dobrym i miłym rozjaśni mi smutne i ciężkie życie. W cierpieniu trudno znaleźć przyjaciela, co smętnej duszy bóle współczuje. Lecz jedno litosne jego spojrzenie słodzi gorzkie cierpienie. Może ktoś smutny i osamotniony, skreśli kilka słów do mnie?

Pozdrawiam wszystkich „Krainiaków".

SZKODA!

„Żymełka". Szkoda, że nie zdecydowałaś się wstąpić do redakcji podczas swego pobytu w Żninie. Czy to tak trudno zdobyć się na tę odrobinę odwagi, aby zapukać i wejść? Reszta już idzie, jak z płatka. „Samotna Włościanka" potrafiła przyjechać do mnie z daleka i nie bała się wcale! Jest to bardzo miła dziewczynka — może nawiążesz z nią korespondencję?

Jak w przyszłości zjedziesz znowu do Żnina, nie omieszkaj odwiedzić nas w redakcji.

Życzę Ci dużo miłej korespondencji i zamieszczam Twoje komunikaty:

Halo, „Rybaku z Helu" — znam Pana z widzenia i opowiadania. Czy nie p. A. B. z Kuźnicy na Helu? Proszę, może Pan skreśli do mnie liścik. (A może Pan ma ich tak dużo, że dla mnie nie starczy czasu?)

Proszę również o list „Czarnooką Wandę". Jest również z Pomorza prawda? Odpiszę na pewno. Proszę także Panią o ile możności o fotografię. Zrewanżuję się również. Dodaję poza tym, iż jestem „Gnieźnianką", więc oddalona od Pani spory kawał. Mam także Pani coś ważnego do napisania. Ściskam Panią i proszę raz jeszcze nie zapomnieć o mej prośbie.

„Janę — Góralkę spod Klimczoka" pozdrawiam. Napisz, miła Góralko, coś o swej okolicy. Również proszę o listy: „Starego Kawalera" oraz „Małego Stasia". Zdradzam tym Panom, iż zainteresowałam się nimi.

„Młody Marynarzu z Żeglowca". Zazdroszczę Panu tych wędrówek po morzach i obcych krajach. Pozdrawiam!

„Marylko znad Warty", dlaczego Pani nie odpisała p. W. C. z W.? Zdradził mi ten pan raz przypadkowo, ponieważ się znamy i prosił bym zapytała Panią o przyczynę. Gdybym odwiedziła Panią kiedyś, czy nie pogniewa się Pani na mnie? Miłe pozdrowienia od W. C. także od siebie dla Sympatycznej Pani!

Dla wszystkich „Krainianek" i „Krainiaków" moc pozdrowień. Jeśli ma ktoś ochotę do mnie napisać, proszę bardzo, gdyż o odpowiedź u mnie nietrudno! Przesyłam również miłe pozdrowienia dla „Japonki", którą proszę choć o króciuteńki liścik.

ZAMIESZCZAM WSZYSTKIE KOMUNIKATY

„Blanka". Ależ oczywiście, Droga „Blanko" — człowiek nawet ten, który największych doznał zawodów i rozczarowań, winien zawsze i od nowa żyć nadzieją nowej wiosny. To jest konieczne choćby po to, aby nie poddawać się inercji i przeżywać życie, a nie przepłakiwać. Ludzie, którzy nie umieją przemóc w sobie bólu, nie dążą naprzód po nowe szczęście i radość — słabi są i godni współczucia, ale — ale nie naśladowania. Po to dał nam Bóg rozum i serce, abyśmy kierowali się jednym i drugim. Jeżeli serce krwawi, rozum winien wesprzeć je dobrą radą, podsunąć nowe jasne zamiary i plany i lekko, nieznacznie zapalić je (serce) do nich. Odwrotnie, kiedy rozum czuje się urażony, ambicja zadraśnięta — serce winno podsuwać, podszeptywać dobre wybaczenia, wspaniałomyślne zapominanie uraz. Te dwie machiny w człowieku znaczą wszystko, reszta podporządkowuje się łatwo ich dyktandu.

Za wszystkie słowa uznania i serdeczności dziękuję Pani i posyłam uściski!

„Czarny Hajduczku". Obawy Twoje są płonne. Kocham Cię, jak zawsze i jeszcze więcej! Moje serce jest jak autobus wielkie i masz w nim wygodne miejsce. Buźkę całuję.

„Dumko". Dziękuję za miłe zaproszenie i przykro mi bardzo, że znów muszę odmówić. Może w lecie. Całuję Cię i ślę pozdrowienia do „Leśnego Domku".

„Mała Mery". Dużo dobrego i słodkie całusy.

„Samotna Włościanko". Dzięku'ę i Tobie za miłe zaproszenie, i wybacz proszę moje nieprzybycie. Zobaczymy się może niezadługo, a zatem do zobaczenia się!

„Przedwiośnie" i „Mała Konwalijko". Życzę Wam, jako wartościowym jednostkom, dużo szczęścia oraz pogody ducha. Oby sp łec ństwo znalazło więcej takich czynnych ludzi!

„Smutna i brzydka Irko", brzydka? Na pewno nie! Przyjm Sympatyczna Panienko pozdrowienia ode mnie i nie smuć się!

Dla Trudki i Heli Pokojskich oraz Gerci i Lusi uściski. — Dla Benia w pod ięce za „czarodziejską skrzynkę" wagon pozdrowień, no i coś...

Państwu Brenowiczom w Krakowie i tamże bawiącym Kasieńce, Hali i Grażynie pozdrowienia ode mnie i Witki G. z Poznania.

Wszystkim Sympatykom, którzy o mnie pamiętają, a których nie wymieniłam — uśmiechy i dobre słowa!

LICZĘ NA WAS!

„Aloha". Dziecko Moje! Tak się przejęłam Twoim ostatnim listem, że odpisuję natychmiast. Dziewczynko — bardzo Cię proszę, nie przejmuj się na razie tym wszystkim. Odrzuć od siebie jak najdalej wszystkie zgryzoty — myśl tylko o tym, że musisz wyzdrowieć. Jesteś bardzo wrażliwa i każda przykrość dotyka Cię dużo silniej niż ogół ludzi i dlatego to tragizowanie. Inna rzecz, że masz wyjątkowego pecha, ale nie ma tej rzeczy i takiego pecha, któregoby zmóc nie można! Na razie — powtarzam — wszystkie myśli i siły zbierz po to, aby wyzdrowieć. O reszcie pomyślimy, gdy będziesz już zdrowa. Wówczas przyślesz mi jedną z tych fotografij (wiesz, pisałaś ostatnio) i wszystkie dane o sobie. Musisz mi napisać dużo, dużo i tak szczerze, jak dotąd.

A Was, Mili „Krainiacy", proszę, abyście pamiętali o chorej siostrzyczce, o sł dkiej „Aloze", i byście wysłali jej masę listów! Liczę na Was!

A teraz całuję Cię, Maleńka, słodka „Aloho", i cichutko śpiewam Ci harcerską bajkę — kołysankę. No, tak! Żebyś nie myślała o tych wszystkich zmartwieniach i mogła znów zasnąć spokojnym, krzepiącym snem bez gorączki i majaczeń, które Cię tak męczą.

ZNASZ JUŻ!

„Mogilnianka". Ależ nie! Absolutnie nie zamierzam odwrócić się od Ciebie, przeciwnie, ujęłaś mnie swym nieco dziwnym, ale niemniej ogromnie miłym listem. Przyjmuję Cię c.o. do „Rodzinki" i życzę, abyś czuła się w niej jak najlepiej!

Pragniesz korespondować z kimś z Gniezna, lecz nie dajesz specjalnych życzeń i wskazówek co do reszty — lubisz i znasz już prawie wszystkich, bo śledzisz ich życie w „Krainie". W duchowej rozterki, depresji psychicznej uciekasz do „Krainy", śledząc jej życie i znnajdując w niej lekarstwo i oparcie.

Cieszy mnie to niewymownie i wzbudza pragnienie, aby zawsze tak było, w co zresztą nie wątpię.

Napisz do „Smutnej Kazienki", „Marusi II.", „Takiego Jednego" — myślę, że podtrzymają Twój optymizm, a chwile smutne rozproszą serdecznością Ci okazywaną. Pamiętaj z iś o nadesłaniu mi adresu.

Pozdrawiam Cię i przedrukowuję Twoje pierwsze i (co mnie trochę dziwi) już tak liczne komunikaty:

Uznanie za wierszyki „Białej Uajali" — może poświęcisz mały utworek mnie nieznanej dziewuszce.

Halo! Kolego Kaziku Łaganowski nie wiedziałam, że masz zdolność literackie — lecz wiesz, pyszny był Wasz opłatek — ubawiłam się setnie. Pozdrów małego Heńka Buszewicza i Jasia Kaźmierowskiego. Górą Gębice!

„Heniek" — przyjm koleżeńskie pozdrowienia — ideały nasze są jedne, dowodem oznaka na klapie marynarki.

„Przybłędo Leśny" — nie zbłądziłbyś listem do mego małego miasteczka? Pocóż błąkać się po lesie, gdzie teraz pusto — inna rzecz latem. — Czekam — może namyślisz się.

A „Jesienny Wicher", może napisałbyś? ucieszyłabym się! Poza tym ślę miłe pozdrowienie dla wszystkich i proszę o listy wszystkich chętnych i lubiących wesołą korespondencję.

„Te - Em", wiem ktoś Ty — poznałam z fotosu".

SŁUSZNIE!

„Smutna Kazieńka". Dziecinko Droga, słusznie zauważyłaś, że nie mogłabym Cię pominąć milczeniem — chcę Ci zawsze być opiekunką rozumiejącą i serdeczną?

Dobrze, że masz tę posadę, a samotność rozproszą Ci nasze miłe „Krainianki".

Jedno chciałam Ci nadmienić, to mianowicie, abyś nie pożyczała nikomu pieniędzy, bo wiem, że nie masz ich dużo, a tylko te, które ciężko zapracujesz pracą rąk własnych.

Natomiast w sprawie, którą mi przedstawiłaś, nie dawaj jeszcze stanowczej odmowy — uc ucie może przyjść z czasem i okaże się, że niepotrzebnie śpieszyłaś się z protestem. Życie jest długie i niełatwe, a oparcie i własny dom zawsze jest potrzebne kobiecie, zwłaszcza takiej, która własnym przemysłem musi iść przez życie i zapewniać sobie byt.

Dobrze, że znalazłaś sobie przyjaciółkę — uczucie przyjaźni cenną jest rzeczą dla ludzi w ogóle, a kobiet w szczególności!

Owszem, umieszczę wszystkie, komun katy w nagrodę za to, że tak długo nie miałaś listu ode mnie.

Całuję Cię serdecznie i życzę pomyślności w pracy i szczęścia!

„Biała Uajali"! Siostrzyczko kochana, dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam. Wkrótce otrzymasz list. Jestem w Wąbrzeźnie. Smutno mi tu i tęskno — nie znam nikogo, zdziwisz się, gdy słowa te czytać będziesz. Trudno, gdy chce tak los, to trzeba się zgodzić.

„Maruto", „Mała Konwalijko". Kochani was dlatego, że jesteście tak dobre dla mojej kochanej Kaji. Przyjmijcie moc pozdrowień!

Moc pozdrowień i przyjacielski uścisk dłoni zasyłam Panu Michałowi W. z P. Domyśli się Pan, kim jestem. Znamy się dobrze.

Miłe pozdrowienie dla „Starego Kawalera" z prośbą o list, bo zdaje mi się, że znam Pana.

Panu Czekalskiemu zasyłam uznanie i pozdrowienie za śliczne nowele. Halo! Panowie Płócjennik i Baranowski — śliczne są Wasze wiersze! Kocham je bardzo. Może któy z Panów ofiaruje mi mały wierszyk, bardzo bym była wdzięczna!

Pozatem zasyłam pozdrowienia dla „Fleura", „Oriona", „Zefira zachodu", i „Samotnego Chorzów I." Również zasyłam wszystkim Sympatyczkom, Sympatykom pozdrowienie!

NADEŚLESZ

„Elem n. Notecią". Przyjmuję Pana do „Krainy" w tej myśli, że będziesz jednym z dobrych i interesujących jej członków. Z pisma poznałam, że pióro jest Panu chlebem powszednim, mówiąc w przenośni, a ze stylu, że jesteś inteligentnym i szczerym, co mnie najbardziej ujmuje. Lubię szczerość i ludzi, którzy o niej nie zapominają.

A teraz nadmieniam „Krainiakom", że jesteś blondynem średniego wzrostu, pracujesz w biurze i masz 29 lat. Adresu swego wprawdzie nie nadesłałeś, ale nadeślesz, bo pragniesz otrzymywać listy od „Rodzinki".

Pozdrawiasz wszystkich i wszystkie i posyłasz im wesoły uśmiech.

Teczka Wujka Janusza

...GDYBY CHODZIŁO O INNE PISMO

„Te - Em". Uwagi Pana, dotyczące nowel i krótszych opowiadań, byłyby racjonalne tylko wtedy, gdyby chodziło o inne pismo. „Moje Powieści" nie mogą zmienić swego charakteru, skoro ich założeniem jest drukowanie przede wszystkim powieści w odcinkach, a następnie dopiero rzeczy krótszych i mniej programowych.

A teraz kilka słów o przesyłce Pana! Oóż nowelka — „Wierny sługa" — pójdzie do druku. Tak samo dwa wierszyki: „Wróż mi"... i „Odeszła"... Życzę Panu dalszego natchnienia, bardzo serdecznie pozdrawiam i przechodzę do komunikatów Pana:

„Uśmiechniętej Szatynce" — dziękuję za uznanie. 1) doprawdy nie sądziłem, że wiersz „Komu się zwierzyć" tak będzie się podobał. Wierszyk Pani poświęcę i... proszę zaraz potem o fotografię i miły liścik. Odpiszę. Tylko adres musi być podany.

„Czarnemu Hajduczkowi", „Bella - Donnie" i wszystkim „Krainiakom" dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je.

P. J. Baranowski. Wiersze Pana są piękne! I nie tylko te w „Moich Powieściach", ale i w „Przewodniku" i w „Kurierze". Sądzę, że się kiedyś poznamy w Poznaniu.

„Dykuś" — czy przyłączyłeś się już do „Krainy"?... Pozdrawiam Cię i... co robi Lena?

Cały Poznań ma dziś ode mnie pozdrowienia!

Cała „Kraina" również!"

WRÓŻ MI...

Wróż mi, cyganko, szczęście
Jaśniejsze od tych zórz
I miłość wielką, czystą,
Cyganko, dziś mi wróż...

Wróż mi, cyganko, dzisiaj,
Szczęśliwsze życie wróż,
balsam kojący, proszę,
— dziś na me serce włóż.

Niechaj nie myślę stale,
O tym, że w sercu ból,
Że marzę, idąc nocą
Wpośród bezmiernych pól...

Wróż mi, cyganko, szczęście, wróż...

„Te - Em".

TROSKA — WRÓŻKA

Idzie Troska — wróżka zaśnieżoną drogą,
Najsroższe ją wiatry nawrócić nie mogą.
W ręku ma przędziwo ze zgryzot utkane,
A całe jej szaty są łzami usiane.
Wędruje po świecie i ściele październe —
Zostawi łzy gorzkie, uśmiechy zabierze,
Nie minie nikogo — nędzarza ni pana,
A chodzi bez przerwy od nocy do rana...
Idzie Troska — wróżka z góry ku dolinie,
Nie ciesz się człowieku, ona cię nie minie.
Idzie powolutku, sypie łzy i troski,
Cóż na to poradzić: taki wyrok Boski...
Idzie Troska — wróżka, po całutkim świecie,
Że to święta prawda — dobrze wszyscy wiecie...

Jadwiga Szajnowska.

URYWEK DNIA

W bezbarwnym, nudnym rzędzie godzin —
Myślę wciąż, jak kropla po szybie sączy,
Że jutro, jak wczoraj, jak codzień,
Znów tylko tęsknotą cichą się skończy...

Emanuel S.

POLECENIE WYKONAŁEM!

„Wesoły Banialuczek". Miło mi ogromnie, że cieszę się sympatią Pani. Oczywiście i ja nieraz myślę życzliwie o „Wesołym Banialuczku", gdyż znam go doskonale z odpowiedzi P. Zofii. Polecenie Pani wykonałem, t. zn. list przekazałem pod odpowiednim adresem. Życzę przyjemnej korespondencji!

WIERSZE SŁABE

P. Stefania S. Wiersze słabiutkie, widać od razu, że pisał je ktoś, kto mało czytał poezyj i kto nie ma w ogóle pojęcia o najważniejszych atrybutach wierszowania. Proszę więc zaznajomić się z nimi, a następnie dopiero zacząć pisać wiersze. Łączę miłe pozdrowienia!

Raj kobiet

Organizacja życia rodzinnego

Utarło się zdanie, że dzisiejszy rozkład życia rodzinnego ma swoje źródło w pracy zarobkowej kobiet, które przebywając poza domem nie mają czasu, energii, ani chęci zająć się organizacją ogniska rodzinnego, ani wychowaniem dzieci.

Nie wchodząc w głębszą analizę tego skomplikowanego skądinąd problemu, przypatrzmy się jaką na to radę znalazła kobieta skandynawska. Jak praktycznie i harmonijnie umie ona ułożyć sobie życie, nie tracąc nic z jego wartości dzięki temu, że pracę oddaje we właściwe ręce, które mogą ją wykonać najsprawniej, najlepiej i z najmniejszą stratą czasu.

W Szwecji, Danii i Norwegii znaczna część kobiet pracuje zarobkowo i wychodząc za mąż wcale nie myśli rezygnować ze swej samodzielności. Mimo to liczba małżeństw jest tam stosunkowo duża; a liczba rozwodów procentowo niewielka. Dom jest dobrze utrzymany, a dzieci mają dostateczną opiekę i nie tworzą owej wielkiej gromady „półsierot" (chociaż nie straciły ani ojca ani matki) jakich widzimy tak dużo np. u nas.

Kraje skandynawskie zawdzięczają to umiejętnej organizacji życia i podziałowi zajęć. Jako przykład posłużyć może jeden z licznych w Sztokholmie „domów rodzinnych". Jest to olbrzymi gmach złożony z szeregu poszczególnych, zupełnie oddzielnych mieszkań, tym tylko różniący się od normalnego mieszkania, że w żadnem niema kuchni, najwyżej mała kuchenka gazowa do podręcznego użytku. W suterynach na dole znajduje się ogromna wspólna kuchnia, pozostającej pod nadzorem fachowej gospodyni, gdzie się przygotowuje posiłki dla wszystkich mieszkańców domu. Nie jest to bynajmniej jedzenie z „kotła" dla każdego jednakowe. Jak w każdym dużym domu i dobrze prowadzonym hotelu można tam zamówić specjalne menu, odpowiednie do indywidualnych potrzeb i gustów.

Na dole znajdują się również pralnie i prasowalnie. Wykwalifikowana kierowniczka zajmuje się utrzymaniem porządku w tym wspólnym domu, na życzenie i stosownie do umowy posyłając do poszczególnych mieszkań pokojówki do sprzątania i innych posług.

W wielkich salach bawią się zamieszkałe w owym domu dzieci w czasie, kiedy rodzice oboje są zajęci. Jest to rodzaj jakby całodziennych przedszkoli czy żłóbków, gdzie dzieci mają nietylko doskonałą opiekę, ale i wszelkiego rodzaju gry i rozrywki, którychby oczywiście nie mogły znaleźć w każdym pojedyńczym mieszkaniu. Inne sale przeznaczone są dla starszych dzieci: tam uczniowie odrabiają lekcje mając w razie potrzeby fachową pomoc, a zawsze dostateczną opiekę i mogą korzystać z bogatej czytelni, i biblioteki. Sale czytelniane i biblioteki są również dla użytku dorosłych mieszkańców domu.

Może się pozornie zdawać, że tego rodzaju życie jest życiem w hotelu i że wyrastające tam dzieci są od powijaków pozbawione ciepła rodzinnego. Bynajmniej. Ominęły ich tylko złe strony tego życia, brak rozsądnej opieki, zły humor przemęczonej matki, przesądy staruszki babuni, lub otumaniający wpływ głupiej czy niesumiennej niańki. Dzieci, co jest ważne, uczą się w domach rodzinnych i bawią w gromadzie, od najmłodszego wieku przyzwyczajają się do życia społecznego wzajemnie urabiają charaktery, ścierając ostre ich kanty niwelując wybujały egoizm. Popołudniu, kiedy rodzice wracają do domu życie rodzinne kwitnie w pełni. Matka zamiast z niechęcią i znużeniem zajmować się tysiącznemi drobiazgami szarej strony egzystencji, może cały swój czas i energię poświęcić współżyciu z dzieckiem i rodziną, może być matką żoną, panią domu, zamiast jak to się u nas często zdarza — zabieganą, zmęczoną, wiecznie niezadowoloną, służącą swoich bliskich. Jeśli ktoś w domu zachoruje fachowa pielęgniarka jest na zawołanie matka spokojnie może iść do pracy, wiedząc że wszystko koło chorego będzie zrobione na czas i tak jak być powinno. Nie należy przytym sądzić, że tego rodzaju organizacja kosztuje drożej, niż normalnie w zwykłych warunkach utrzymanie domu, przeciwnie, dzięki umiejętnej kalkulacji i skomasowaniu wydatków wypada to nawet taniej. Nie mówiąc już o zaoszczędzonych siłach i zapasach energii życiowej i dobrego humoru, którymi się u nas często szafuje tak rozrzutnie, a które przecież także stanowią kapitał nie do pogardzenia, kapitał, którego niepodobna odzyskać skoro już raz został roztwoniony.

Może dzięki właśnie owej umiejętnej organizacji życia w skandynawskich domach mieszkańcy tamtejszych miast mają często tak radośnie uśmiechnięte twarze. Ich zdrowy rzeźki, pogodny wygląd uderza nas ludzi przeważnie bez uśmiechu i pogodnego oblicza.

Dziewczę z „Dzikiego zachodu"

W Miami, na półwyspie Florydy, znanej morskiej miejscowości kąpielowej mi ionerów amerykańskich, zmarła — jak donoszą dzienniki nowojorskie — w tamtejszym przytułku dla ubogich, dożywszy sędziwego wieku, Margareth Mac Clain Bruke.

Kobieta ta, żyjąca w ciągu lat ostatnich na łasce instytucyj dobroczynnych, słynęła w ostatnich latach ubiegłego stulecia w całych Stanach Zjednoczonych ze swego życia awanturniczego i bogactw w niezwykły sposób zdobytych.

Gdy w 1896 r. rozeszły się wiadomości o odkryciu w okręgu Klondyke, na Alasce niesłychanie bogatych złoży złota aluwialnego, podążyły tam, jak wiadomo, tłumy awanturników i poszukiwaczy cennego kruszczu z całego świata. Byli to początkowo sami mężczyźni. Wreszcie znalazła się też odważna młoda dziewczyna, która zdecydowała się poszukać także szczęścia na dalekiej, mroźnej północy. Była nią Margareth Bruke.

I znalazła szczęście, gdyż awanturnicy najczęściej nieokrzesani i brutalni poszukiwacze złota, żyjący pomiędzy sobą w ciągłej wojnie o działki złotodajne, ujrzawszy w swym gronie tę młodą kobietę, stali się wobec niej nie tylko



36 Sukienka wieczorowa z niebieskiego schiffon'u ozdobiona srebrnym haftem w postaci lekko rzuconych kwiatów; jako uzupełnienie — srebrny pasek.

37 Dla starszej pani — suknia z satin w czarnym kolorze, połączona koronką.

38 Urocza sukienka z tafty w kolorze cytrynowym, oryginalnie wykończona przy szyi złotymi chwastami.

39 Okrycie wieczorowe, wykonane z satin w kolorze czarnym. Służy jako uzupełnienie każdej toalety wieczorowej.

48 Bardzo młodociana sukienka balowa dla panienki. Falbanki u dołu i przy rękawach.

49 Z tafty lub schiffon'u uszyć można tę sukienkę balową, bardzo elegancką.

Kroje powyższe do nabycia w naszej administracji w cenie 1,50 zł za sztukę, z wyjątkiem kroju 39, który kosztuje 1 zł.

łagodni, jak baranki, ale nawet ubiegali się jeden przez drugiego o wynalezienie dla niej gruntu, bogatego w złoto. I rzeczywiście, Margareth natrafiła dzięki im, na grunt taki, a eksploatując go, doszła do ogromnego bogactwa, z którym powróciła z Klondyke do Nowego Jorku.

Ale bogactwo przewróciło jej w głowie. Sypała pieniędzmi na prawo i lewo, używając rozkoszy życia tak hojnie, że szybko wyczerpały się miliony, jakie przyniosło jej Klondyke i spadając coraz niżej po pochyłej równi biedy, stała się wreszcie żebraczką, wędrującą z miasta do miasta i żyjącą z miłosierdzia publicznego.

Pozostał jej tylko jeden przyjaciel: pies, którego niegdyś przygarnęła. Wierne stworzenie nie chciało nikogo dopuścić do łoża, na którym skonała. Policjanci musieli wkońcu rozpaczającego po zgonie swej pani psa zastrzelić, aby zabrać ciało zmarłej.

Dodajemy, że przygody Margareth Mac Clain Bruke dały Pucciniemu temat do znanej opery „Dziewczę z Dzikiego Zachodu".

Ze świata

Nowa zdobycz biochemii

Dwaj uczeni szwedzcy z Instytutu Karolińskiego w Sztokholmie — prof. Haumnarsten i dr. Agren — dokonali niezmiernie doniosłych odkryć w dziedzinie chemii białka, uzyskując możliwość produkcji białka na drodze syntetycznej. Wstępne rezultaty badań uczonych szwedzkich uznane zostały za nader doniosłe dla rozwiązania jednego z najpoważniejszych zagadnień współczesnej biologii — sprawy białka i szczegółowej budowy drobiny proteiny. Na wiosnę uczeni szwedzpcy na zaproszenie Stanów Zjednoczonych udadzą się do Ameryki, aby swych kolegów zapoznać z rezultatami swych eksperymentów.

Podzielić substancję białkową na jej części składowe jest sprawą stosunkowo prostą—, natomiast nikomu dotychczas nie udało się połączyć jego elementów w ten sposób, aby utworzyły substancję o właściwościach białka.

Badania prof. Haumnarstena i dr. Agrena, które trwają od 4 lat, wydają się poważnym krokiem naprzód do rozwiązania tego problemu. Po raz pierwszy udałoby się uzyskać proteinę, czy też materię, podobną do proteiny, z preparatu, który był całkowicie początkowo pozbawiony białka, a mianowicie z wyciągu z wątroby. Odkrycie to uczeni szwedzcy zrobili przypadkowo, pracując nad wyprodukowaniem takiego wyciągu z wątroby, który można by zastrzykiwać chorym na złośliwą anemię. Taki wyciąg musi być pozbawiony białka, tymczasem w jednej z faz pracy po kilku tygodniach zaobserwowano, że w tym ekstrakcie jest białko.

Odkrycie to prof. Haumnarsten tłumaczy w ten sposób, że pewna ilość azotu, powstałego z rozpadu grupy aminowej (aminy — związki organiczne) ulotniła się z ekstraktu wątrobianego i wytworzyło się białko. Za wcześnie jednak jest na odpowiedź, czy przez łączenie aminokwasów (produkty rozpadu ciał białkowych) dokonać będzie można syntezy protein na drodze biochemicznej.

Oczywiście nie można tymczasem przesądzać wartości odkrycia Szwedów, gdyby jednak eksperymenty ich miały doprowadzić do wynalezienia sposobu produkcji białka syntetycznego, byłoby to odkrycie epokowe ze względu na fizjologiczne i odżywcze znaczenie ciał białkowych. One to dostarczają materiału do budowy substancji komórkowej i są jedynymi substancjami, które tylko — z wodą i solami — mogą utrzymać zwierzę przy życiu bez współdziałania tłuszczów i węglowodanów jako materiałów pokrewnych.

Świat i życie

Po tamtej stronie życia

Do kliniki w Glasgow przyjęto liczącego 37 lat mr. Ch. Tune, człowieka o silnej konstytucji. Lekarze po zbadaniu pacjenta orzekli, iż konieczna jest operacja woreczka żółciowego. Operacja została wykonana pod narkozą i przebieg jej był zupełnie normalny. Gdy zbliżyła się jednak ku końcowi, lekarz-asystent obserwujący funkcję serca i organów oddechowych, stwierdził z przerażeniem, iż serce mr. Tune'a przestało bić, jednocześnie zatrzymało się oddychanie. W znaczeniu klinicznym nastąpiła zatem śmierć pacjenta. Chirurg, który dokonywał operacji, zdecydował się wobec tego na zabieg, który, pomimo całego swego ryzyka, nie mógł w danej sytuacji nic zmienić na gorsze, gdyby się nie udał. Dokonawszy kilku głębokich cięć, operator otworzył klatkę piersiową, dotarł do serca, zastosował masaż woreczka sercowego oraz zastrzyknął adrenalinę do mięśnia sercowego. I oto stała się rzecz nieoczekiwana: serce poczęło się kurczyć, rozszerzać, ożyło spowrotem. Mr. Tune powrócił więc do życia i operacja mogła być doprowadzona do końca.

Stan pacjenta po ukończeniu zabiegów był normalny, ale... nie nastąpiło przebudzenie ze snu narkotycznego. Serce, płuca, wszystkie organy wewnętrzne działały normalnie, operowany jednak pozostawał nadal w stanie bezwładu, pozbawiony przytomności. Osobliwy ten stan trwał całe 40 godzin, w ciągu których stosowano różne środki, aby obudzić pacjenta i przywrócić mu świadomość. Obserwowano więc tylko śpiącego.

Po 40 godzinach mr. Tune obudził się sam i zaraz wrócił do przytomności. Z chwilą jednak, gdy otworzył usta i zaczął mówić, lekarzy ogarnęło zdumienie.

Jak mówił pacjent, stracił on przytomność po zabiegu narkotyzującym, ale stan ten nie trwał aż do przebudzenia się, lecz przeistoczył się w coś, co mr. Tune nazwał wędrówką duchową w stanie dematerializacji, jako coś bezcielesnego. Wydawało mu się, że jest obłokiem, parą, czy też czymś w tym rodzaju i płynie przez jakieś przestworza. Jak długo trwała ta wędrówka, nie umie tego określić pacjent; może to były tylko sekundy, a może to trwało lata całe. W każdym razie, jak mówi mr. Tune, w pewnym momencie począł on, że wędrówka jego w stanie bezcielesnym dobiega kresu, wyczuł, iż jest zmęczony, że oddycha, że jest mu ciepło. Gdy tylko otworzył oczy i stwierdził, że znajduje się w sali operacyjnej, natychmiast odzyskał świadomość swego stanu i zaczął opowiadać o swoich „przemianach", które trwały prawie 40 godzin. Zdaniem lekarzy jest to pierwszy bodaj wypadek, aby człowiek, który tyle godzin pozostawał w stanie zupełnej nieprzytomności, zdał relację z tego, co odczuwał przez cały czas trwania narkozy.

WANDA JAGIENKA ŚLIWINA

Zwycięstwo pani Heli

(Coś... o alkoholu)

(Dokończenie.)

— Okropność! — wykrzyknęły wszystkie panie.

— A wiecie, co mówi Zbyszek? — dodała pani Ludka, że człowiek państwowo myślący powinien pić, bo monopol wódczany równoważy budżet! Rozumiecie? I co takiemu odpowiedzieć?

Pani Hela klasnęła w ręce.

— Doskonale! Znajdzie się tutaj coś dla niego! Przewertowała którąś broszurkę.

— O! macie: „Gdyby przeciwstawić wpływom z monopolu, wydatki jakie powodują skutki pijaństwa, to budżet państwowy wykazałby minusy. Pijaństwo jest kuźnią zbrodni, niedopatrzeń służbowych, katastrof. Większość zabójstw popełniona jest w podnieceniu alkoholowym, na zabawach, weselach, w szynkach. Zbrodniarza trzeba uwięzić, osądzić. Kto ponosi koszta? — Państwo! — Nietrzeźwy kolejarz źle nastawi zwrotnicę, albo puści pociąg na pociąg, ofiarą padają ludzie i sprzęt kolejowy. Kto płaci odszkodowanie okaleczałym pasażerom i wydatkuje na kupno nowych wagonów i parowozów?

— Państwo! Takich przykładów jest całe mnóstwo!

Wszystkie panie ożywiły się.
szurki? Bo trudno ciągle biegać do Abstynentów i zawracać im głowę! — zapytała pani Jadzia.

— Nic łatwiejszego, moja droga! Trzeba tylko chcieć!

W biurze Akcji Katolickiej mają bezpłatną wypożyczalnię dziełek przeciwalkoholowych i Liga Abstynentów posiada biblioteczkę. I tu i tam cieszą się z zainteresowania publiczności.

— No to świetnie! W takim razie zwalczymy nałóg naszych mężów i braci! — ucieszyła się pani Ludka.

— Zaraz! Wolnego! Potem oberka! — zażartowała pani Hela, z miną Metternicha. — Tu jest coś i dla nas!

— Dla nas? Przecież my nie jesteśmy alkoholiczkami? — wykrzyknęły wszystkie równocześnie.

Pani Hela zaczęła czytać:

„Kto chce odzwyczaić pijaka, czy też „pijącego", od używania alkoholu, musi zacząć od siebie. Kobieto! czy w twoim domu bywa alkohol, we święta, imieniny i tym podobne uroczystości?"

— Także pytanie! Wiadomo, że bywa! Co by o nas ludzie pomyśleli? Imieniny bez wódki, to jak wesele bez panny młodej!

Pani Hela zaczęła się śmiać.

— Posłuchajcie dalej! — rzekła wreszcie. — „Nie wpuść wódki do domu! Niech tej trucizny nie widzą twoje dzieci! Niech twój dobry przykład wpłynie na całe otoczenie".

— No więc jakto? Na sucho potrawy jeść? Gości i domowników podławić? Także!

— Jest środek zastępczy: „Płynny owoc"! — zawołała pani Hela. — O! mam tu specjalną, przystępnie napisaną bruszurkę, o wyrobie bezalkoholowych napojów z owoców. Podobno są świetne w smaku i dla zdrowia, bo posiadają dużo witamin. Pije się „to" szklaneczkami podczas jedzenia. Mówię wam, nauczmy się tych wyrobów, a będzie sto pociech! Bateria butelek zejdzie ze stołu, a goście — trzeźwi!

Zaczęły się naradzać.

— No dobrze. A co ci powiedzieli w Poradni Przeciwalkoholowej? — zainteresowała się pani Ludka.

— Aha! prawda! Tam jest bardzo miła, bardzo fachowo wyrobiona pani, taka pielęgniarka od ciała i duszy. Ona robi wywiadówki po domach pijaków, odbywa rozmowy z alkoholikami, zatrzymanymi przez policję i udziela porad na miejscu. Otóż pierwszy warunek powodzenia: szczera chęć pozbycia się nałogu. Bo jeżeli ktoś pięknio świata i urodę życia widzi w wódce to mu nic nie pomoże! W Poradni robią odpowiednie zastrzyki, dają lekarstwa do wewnątrz, zalecają specjalną dietę, pomagającą do opanowania apetytów wódczanych, no i również wpływają na psychikę.

— To jazda do roboty, kochane paniusie! — wykrzyknęła pani Zosia. — Wszystkie zacznijmy od dzisiaj taktykę podjazdową. A która najlepiej przeprowadzi akcję, dostanie nagrodę.

— Jaką? jaką?

— Będzie miała trzeźwego męża!

* * *

— To mówisz Staśku, żeś tyle zaoszczędził od czasu abstynencji? — zapytał ciekawie mąż pani Ludki, opowiadającego z zapałem kolegę.

— Sam policz! — odpowiedział tamten, zajmując miejsce na ławce. — Obowiązkowy „oblewantus" po pierwszym, przeciętnie 30 zł., Jeden „mały" z przekąską, po biurze, w drodze do domu — 60 groszy, to miesięcznie 18 zł. Dwa, trzy razy w miesiącu „nieprzewidziany" wypad, liczmy tylko po 10 zł. każdy, to wszystko razem 78 zł. I w domu wódka, „na wszelki wypadek".

A teraz — były imieniny Heli, wypiliśmy 20 butelek płynnego owocu i kosztowało kilka złotych, a na wódkę, wino musiałbym się zadłużyć!

— A wiesz, nawet dobra rzecz ten owocownik! — przyznał rację pan Zbyszek. — Zwłaszcza z jabłek, kapitalny! Ludka przyrządza go także, ale ja, w sekrecie przed nią, wpadam do baru. Ciągnie mnie!

— Mówię ci, wpadnij w sekrecie przed nią do Poradni Przeciwalkoholowej. Nie pożałujesz! Trzeba sobie umówić godzinę, tak, gdzieś wieczorem, wszystko dyskretnie załatwią i tak wiesz serdecznie, po przyjacielsku. Wyleczysz się z pijackiego gustu i będziesz miał podwójne, a nawet potrójne zadowolenie: a) przyrost gotówki, b) spokój w domu, c) i zdrowie. Takie alkoholizowanie się, to bądź co bądź, zatruwa organizm. Mózg coraz zamroczony, to się panie dobrodzieju, tępieje, a prócz tego wątróbka puchnie, nereczki się defasonują, serduszko słabnie... Żyć by się chciało, a tu — trumieńka kokietuje, albo niedołęstwo palcem kiwa, długi gnębią, baba piekli się w domu, nie bez racji...

— Mamy zamiar osiąść tu między wami! — odezwał się do nich blondyn.

Mieszkańcy New-Limmerick spojrzeli po sobie zdumieni.

Kto tylko z pomiędzy nich miał w sobie jeszcze iskrę energii, ten dawno już uciekł był ze wsi. Podróżni, którzy od czasu do czasu, choć bardzo rzadko przejeżdżali tamtędy, także nigdy nie bawili dłużej, jak przez noc. Było to rzeczą niesłychaną i niebywałą, żeby ktoś z nich chciał osiąść na stałe.

Toteż dziwili się temu niezmiernie i nie uwierzyli, że przybysze naprawdę chcą osiedlić się między nimi.

Utwierdziło ich w tym przekonaniu dopiero pytanie obcych, czy jest u nich jaki dom do nabycia, lub do wynajęcia.

Wysunęli jako swego mówcę szynkarza, Rip Driwera.

— A jest dom, nawet z kawałkiem pola — rzekł szynkarz, skrobiąc się w głowę — tylko, że właściwie ten dom nie ma właściciela. Zostawił go Con Biller, jak odjeżdżał, bo mówił, że nie chce tu zgnić między nami.

— Zapłacilibyśmy wam chętnie za to — rzekł podróżny.

Mieszkańcy szeptali coś między sobą, potem Rip Driwer odpowiedział:

— Damy go wam za 20 dolarów.

Teraz i drugi podróżny wmieszał się do rozmowy.

— Możemy zaraz ubić sprawę — rzekł.

— Ależ Jim! — skarcił go olbrzym — nie będziemy przecie kupować kota w worku. Oglądnijmy naprzód, co kupujemy.

— Masz rację, Bill, zgodził się Jim — chodźmy.

Zapłaciwszy za herbatę, wybrali się w otoczeniu całej ludności osady na koniec wsi, gdzie stała rudera opuszczona przez Con Billera.

Bill odkrył w niej bardzo wiele braków i targował się zawzięcie.

Stanęło na tym, że oddano im chałupę za 10 dolarów, którymi Limmerckanie podzielili się zaraz i poszli je przepić do szynku.

Najmłodszy z przybyszów zabrał się zaraz do uporządkowania rzeczy przywiezionych w nowym domu, a dwaj starsi poszli oglądać grunt.

Był to kawał bagna, poprzerzynany rowkami, w których woda była zielonawo brudna i cuchnąca. Grunt był mokry i tłusty.

Oględziny te zadowoliły ich bardzo.

Wróciwszy do domu, zastali przyrządzoną kolację, która najlepiej smakowała Billowi.

— Pyszny chłop, ten Franek — wołał raz po raz — gdzieżeś wydostał te wszystkie przysmaki?

— Kupiłem u sąsiadów — odpowiedział chłopak.

— Dobrze gospodarujesz — chwalił Bill — w ogóle podobasz mi się. Gdybyś był dziewczyną, ożeniłbym się z tobą. Wiesz, że ty wyglądasz nawet jak dziewczyna! — wołał podochocony, biorąc ją za rękę. — Masz małe ręce i nogi, buzia, jak u aniołka. Szkoda, żeś się nie urodził dziewczynką.

Frania — gdyż ona to była, wysunęła rękę z jego dużej dłoni i z trwogą patrzyła na Leona, jakby go chciała błagać, żeby nie zdradził jej tajemnicy. Lecz on myślami był daleko.



Jazda na targ na Polesiu.

Kiedy się wieczorem układali do snu, Bill zdziwił się ,że tylko dwa posłania są przygotowane.

— A Franek gdzie będzie spał — spytał zdziwiony Leona.

— Wyprosił sobie, żeby mógł mieć dla siebie tamtą drugą izbę — odpowiedział Leon — dajmy mu spokój. To jeszcze delikatny chłopczyna.

— Także jakieś zachcianki! — sapał duży Bill — osobnych apartamentów mu się zachciewa. Dam ja mu!

Nic mu jednak nie mówił, tylko położył się i wnet spał snem sprawiedliwych.

Leon sprzedał pozostałości po Hillerze i uzyskał stąd dla Frani ładny grosz. Billa i ją wziął do spółki w projektowanym przedsiębiorstwie naftowym, ale że sam nic nie miał, musiał u niej pożyczać pieniędzy. Aby uspokoić skrupulatne sumienie, obiecywał sobie, że odda jej sto razy tyle, ile pożyczył.

Tymczasem martwił się, nie widząc spełnienia swych życzeń. Kopał z Billem na coraz to innym miejscu, ale niczego nie mógł się dokopać. Mimo pomyślnych oznak zewnętrznych, nafta się nie pokazywała.

Limmerickanie przypatrywali się z zajęciem ich robocie i pytali czego oni szukają w ziemi.

— Chcemy założyć winnicę — odpowiadał poważnie Bill, a oni myśleli, że to wariat.

Powiedzcie prawdę, czego chcecie się dokopać? — pytał zaciekawiony Rip Driwer.

— Skarbu, któryś tu zakopał — odpowiedział Bill, ku wielkiej uciesze gawiedzi, gdyż Rip Driwer znany był ze skąpstwa.

Ale dobry humor Billa i jego ochota do pracy tak samo nie przynosiła owoców, jak żelazna wytrwałość Jima.

ROZDZIAŁ CCLXV.

Pod wesołym pijakiem

Dniało już i życie dzienne zaczynało już wrzeć na ulicach Wiednia, gdy dwaj obdarci i podejrzanie wyglądający towarzysze, przekradali się wzdłuż domów, unikając zetknięcia się z policjantami.

Przybyli tak do zakazanej jakiejś uliczki i zatrzymywali się przed walącą się chałupą, gdzie nad bramą widniał obiecujący napis: „Pod wesołym pijakiem".

Tu umówionymi jakimiś rytmicznymi uderzeniami zapukali do drzwi, które im natychmiast otworzono. Weszli do ciemnej sieni, gdzie przyjęła ich szkaradna jakaś baba ze zdziwieniem, ale i z radością.

— Jezus Maria — zawołała, załamując ręce — taż to Józef, niech mnie diabli wezmą! Maks! a to dopiero! Jak hrabiowie wyglądali, gdy szli, a wracają jak włóczęgi! O, to wam powiadam, że na kredyt nie dam ani za centa! Maks mi i tak jeszcze winien jest z dawna!

— Frania! — ty masz jeszcze zawsze taki długi język, jak dawniej — zganił czerwononosy Maks — od kiedy to taksujesz ludzi według tego, jak wyglądają!? Koniecznie sobie trzeba zawiesić majątek na szyję? Albo to nie można go chować w kieszeni!? Tych parę centów, com ci winien, dostaniesz z procentem, nie bój się!

— Nu, ja tylko tak żartowała! — uspokoiła się Frania — chodźcie do szynku. Są tam znajomi.

— A kto? — spytał Maks z trwogą.

— Berlińczyk i Henryk tylko.

To uspokoiło obawy opryszków.

Weszli do szynkowni, gdzie berlińczyk podniósł się z przypiecka i powitał ich krzykliwie i z radością.

— Masz tobie dopiero — zawołał — a wy skąd się wzięli?

Już mnie kuczno było za wami!

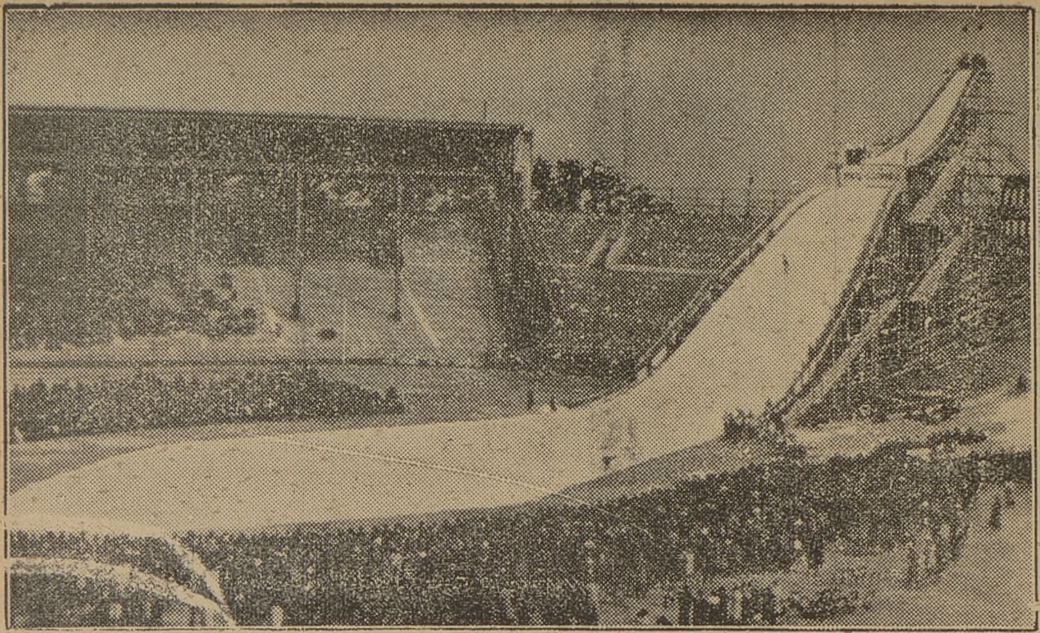
Maks i Józef odpowiedzieli mu w tym samym tonie i zażądali jeść i pić.

— Chcecie kawy? — spytała chuda Fanka — zaraz będzie.

— Zwariowałaś? — oburzył się Józef — ja od obiadu nic nie jadłem, a ona mnie kawą traktuje. Dawaj wódki! A potem coś takiego, żeby człowiek czuł, że zjadł! — Sznycel, befsztyk, albo co!

Maks miał podobne życzenia, więc szynkarka poszła do kuchni. Ledwie chuda Franka wyszła z izby, wylazł z jakiegoś kąta mały garbus, w którym poznajemy naszego znajomego Henryka, męża chudej baby.

— Poszła? — spytał wskazując na drzwi — a gdy się upewnił, że jej już nie ma, rzekł prostując się.



W Osaka przebudowano nową skocznię narciarską, którą przedstawia nam powyższe zdjęcie.

— Nie, żebym się jej bał. Tylko człowiek chciałby coś posłyszeć, o czym baba nie potrzebuje wiedzieć.

Łagodny Henryk okazywał się bardzo pewnym siebie, skoro wiedział, że żony nie ma.

Przyniósł sobie szklankę piwa i siadł przy stole. Wypytywał przybyszów o ich losy, a oni odpowiadali ostrożnie. Dawali do zrozumienia, że mają pieniądze, co im zapewniło cichy szacunek berlińczyka i Henryka.

— A Marynka gdzie? — spytał berlińczyk.

— Biedna — siedzi — odpowiedział Józef smętnie.

— No, popatrz się! — lamentował berlińczyk — szkoda jej!

Wtem weszła chuda Franka i stawiając przed gośćmi dwa talerze mięsiwa, spojrzała groźnie na męża.

— Już się zapijesz, ty złodzieju!? — wrzasnęła — piwo od samego rana będziesz żłopał!? Nie masz nic do roboty, jak wypijać własne piwo i pyskować!? W tej chwili marsz na podwórze rąbać drzewo!

Garbus zaraz po jej wejściu cofnął się ostrożnie ku drzwiom, a gdy postawiła talerze na stole i ręce miała wolne, wtedy jego już nie było w izbie.

— Włóczęga! — krzyknęła za nim — jeszcze nie wie, kto jest panem w domu!

Huczny śmiech gości towarzyszył jej słowom i zagłuszył szmer otwierających się drzwi.

Nikt z obecnych nie słyszał, jak do izby wszedł elegancko ubrany człowiek.

— Przychodzę w samą porę! — rzekł przybysz — dobry kęs, dobry łyk i dobry dowcip — to lubię!

— Baron! — zawołał berlińczyk — aleś to nas nastraszył!

— Serwus baron! — powitali go z pełnymi gębami Maks i Józef.

Baron wyciągnął z kieszeni naperfumowaną chusteczkę do nosa i rzekł z przesadą do szynkarki:

— Daj mi sznapsika, najpiękniejsza z pięknych.

Franka przyniosła sznapsa i spytała, pochlebiając:

— Nie zrobimy dziś interesiku, baronie?

— Być może — odpowiedział baron protekcyjnie. — Masz złoty zegarek z bransoletą, którego chciałbym się pozbyć. Wprawdzie dama jedna ofiarowała mi to na pamiątkę, ale gdybym chciał chować wszystkie pamiątki, którymi mnie zasypują damy, musiałbym mieć na to osobny gmach. No gadaj — ile mi dasz za to?

To rzekłszy, sięgnął do kieszeni i wyciągnął złoty zegarek damski, któremu Frania chciwie się przypatrywała. Na drugiej kopercie było kilka prawdziwych brylantów. Łańcuszek krótki, ale gruby i ciężki, a na nim wisiało kilka kosztownych breloków. Poznajemy zegarek, który skradziono Grecie i domyślamy się, jakim sposobem „baron" dostał tę „pamiątkę".

Franka wzięła go do ręki, zważyła i podeszła do światła. Oczy jej zabłysły, ale głos miała spokojny, dy mówiła:

— Ten cały kram nie wart wiele. Zegarek wprawdzie jest złoty, ale kamienie są sztuczne, a łańcuszek i breloczki pozłacane.

— Złodziejko ty! — wrzasnął tak zwany baron — myślisz, że ja się dam oszukać!? To warte między braćmi 500 reńskich i tyle mi masz dać.

— Pięćset reńskich? — pisnęła chuda Franka — zwariował ten idiota, czy co?

Rozpoczęła się między nimi żywa kłótnia, której obecni przysłuchiwali się z prawdziwą przyjemnością.

Gdy już baron i Franka nagadali sobie tyle impertynencji i grubiaństw, że słownik ich był wyczerpany, stanęło na tym, że szynkarka dała 80 reńskich za zegarek i breloczki.

Tymczasem Maks i Józef zjedli i wypili swoje i palili papierosy, rozłożywszy się wygodnie.

— Franka — zawołał Maks — teraz my zrobimy interes.

— Macie co sprzedać? — spytała Franka.

— Nie, kupić chcemy — odpowiedział. — Nie podobały ci się te nasze ubrania, to sprzedaj nam lepsze.

— A może masz bokobrody? — zapytał Józef.

— Wszystko się znajdzie! — odrzekła — chodźcie ze mną.

Zaprowadziła ich do izby, gdzie przechowała skradzione rzeczy.

W szynku został sam baron z berlińczykiem. Ponieważ ci dwaj nie lubili się, więc berlińczyk wstał i mrucząc coś o tym, że się nie chce pospolitować z takim durniem, wyszedł.

Baron zaśmiał się z tryumfem, że został panem placu i rozciągnął się wygodnie.

Nie długo tak siedział, gdy drzwi z drugiej izby się rozwarły i do szynku weszli dwaj eleganccy panowie.

Najwytrawniejsze oko nie byłoby w nich poznało tych dwu opryszków, którzy tu przed chwilą siedzieli.

Maks w garniturze w kraty, porządnie uczesany, wyglądał jak agent handlu winą, Józef w ubraniu ciemnym z bokobrodami i w cylindrze, mógł świetnie udawać nauczyciela ludowego.

— A! — podziwiał baron — widać, że wam na tym zależy, żeby być „incognito"!

— Ty także inaczej wyglądasz, gdy wieczorem w niebieskiej bluzie i osmolonym surducie wychodzisz na robotę, odparł Józef.

— O, ja — pracuję i w tym kostiumie — rzekł dumnie baron.

— Franka, piwa! — zawołał Józef.

— A gdzie berlińczyk? — spytał Maks.

— Wykurzyłem go, bo mi jest niesympatyczny — objaśnił baron...

— A czy my ci jesteśmy dość sympatyczni? — spytał ironicznie Józef.

— Owszem, chciałem wam zaproponować wspólną robotę.

Ale Józef nic nie chciał słyszeć, tylko pił swoje piwo.

— Co zrobić? — szeptał baron Maksowi — on do tego jest koniecznie potrzebny, bo umie się obchodzić z wytrychem, a my nie, no i jest najsilniejszy.

— Poczekajmy! — rzekł Maks — za kilka dni będzie bez pieniędzy, to jeszcze nas będzie prosił.

Namówili go tymczasem, żeby z nimi poszedł do miasta do jakiegoś handelku na śniadanko.

Gdy tak wszyscy trzej szli przez ulicę, wyglądali tak przyzwoicie, że niktby nie powiedział, że to byli kilkakrotnie karani zbrodniarze.

ROZDZIAŁ CCLXVI.

Spóźnione szczęście

W małym domku na przedmieściu, gdzie mieszkali Snobowie, robiono uroczyste przygotowania.

Fidez starannie nakrywała stół do podwieczorku, na którym dziś stały niezwykłe delikatesy.

Inez układała na stół kwiaty z ogródka, a pani Snob w sypialni swojej przebierała się w nową suknię i świąteczny czepek.

Przyczyną tych przygotowań był list Roberta Snoba.

W liście zamawiał się on z bratem i zarazem dawał do zrozumienia, że przywiozą wesołe nowiny. Snobowa przypuszczała, że to się musi tyczyć akcji, ale nic pewnego niewiasty nie wiedziały.

Oczekiwały więc z niecierpliwością przybycia kuzynów.

Była już dziewiąta, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Do mieszkania wszedł Filip i Robert.

Mieli wyjątkowo uroczyste miny i zjawili się po raz pierwszy z próżnymi rękoma, co u nich było rzeczą niezwykłą.

Przywitawszy się, zaczął Robert poważnie:

— Kochana cioteczko! Miło nam oznajmić ci, że skończyły się dla was ciężkie czasy. Majątek wasz wrócił do was! Jesteście znowu tym, czym byłyście dotychczas.

— Jakto? — zawołała pani Snob — naprawdę? To te miny srebra? Powiedz!

— Tak jest! — Sheffreldzkie miny są źródłem waszych bogactw. Akcje podniosły się na 125. Ponieważ zdaje się, że się więcej nie będą podnosić, a mogłyby spaść, więc sprzedałem je wczoraj. Jesteś zatem w posiadaniu 22 tysięcy i pięciuset funtów. Nie jest to tyle, ile mieliście dawniej, ale zawsze możecie sprowadzić się do dawnego domu na Kensington-Place i żyć na dawnej stopie.

Wyciągnął z kieszeni starannie owinięty plik i wyliczył szereg banknotów.

— Proszę! — rzekł — to są wasze pieniądze. Jeżeli chcecie złożyć je w papierach wartościowych, ofiaruję wam nasze siły.

— Bob! Mój złoty, dobry chłopcze! — zawołała pani Snob wzruszona — jakżeż ci mam podziękować! Ty i twój brat, jesteście jedyni, którzyście nas w biedzie i wstydzie nie opuścili! Byliście nam wiernymi przyjaciółmi, a odwiedziny wasze, to jaśniejsze chwile w smutnym naszym życiu. Rada wasza i pomoc zwróciły nam majątek, przewyższający nasze skromne teraz wymagania. Mogę tylko powiedzieć: Niech wam Bóg wynagrodzi, niech was błogosławi i uszczęśliwi.

Podała im rękę, a córki jej płakały ze wzruszenia.

— Ależ cioteczko! — odpowiedział Robert, walcząc sam ze wzruszeniem — ty nam naprawdę nic nie zawdzięczasz. Pan Bóg po dniach próby zsyła wam znowu radosne dni szczęścia. Ale powiedz cioteczko, jak chcesz mieć ulokowane te pieniądze?

Wtem wstała Inez i zalana łzami stanęła przed nim. Wyraz nieegoistycznej radości, który miała na twarzy, dziwnie ją czynił piękniejszą.

— Ja ci powiem — rzekła — jak pieniądze, które nam Bóg niespodzianie zesłał, mają być użyte. Mówiłyśmy o tym często. Ty i Filip skarżyliście się często, że nie macie pieniędzy do postawienia waszych przedsiębiorstw na większą skalę. Pieniądze nasze możecie włożyć do swych interesów i dopiero, gdy to się wam uda i będzie przynosiło widoczne korzyści, będziecie nam płacić procenty.

— Ależ moja kochana! — zdziwił się Snob — pomyśl przecie! Wszystkie pieniądze chcecie nam oddać do naszych interesów? A nuż nam się noga powinie i wy stracicie wasze pieniądze?

— Wam się nie pośliźnie noga — odpowiedziała Inez — wy jesteście rozsądni, jak ojciec, i nie będziecie się puszczać na karkołomne spekulacje. A gdyby nawet i tak się stało — nawet wtedy nie mogłybyśmy wam robić wyrzutów.

— Tak jest — dodała pani Snob — weźcie to jako pożyczkę. Myśmy już dawno pieniądze te na to przeznaczyły.

— A więc kochana cioteczko! — rzekł Robert z zapałem — pod jednym warunkiem przyjmę twoje dobrodziejstwo. Daj mi także rękę twojej córki. Lubiłem Inez zawsze i byłbym już dawno o nią się starał, ale nie miałem odwagi, bo widziałem, jak ona bogatszym ode mnie dawała kosze.

Jeżeli teraz wolno, to spytam: Czy chcesz, droga Inez, zostać moją żoną? Nie obiecuję ci tej strasznej miłości, która jest w romansach, ale będę cię kochał i starał się, żebyś była szczęśliwa.

Mówił z zapałem i czekał teraz odpowiedzi.

Ku jego zdziwieniu Inez zaczęła łkać i szlochać.

— Ależ moja droga! — zawołał przestraszony — czyż obraziłem ciebie?

— Nie, nie! — odpowiedziała wśród łez — ty jesteś dobry i szlachetny! Mnie nieszczęśliwą, ośmieszoną, chcesz poślubić? Mnie, za którą wskazują palcami, chcesz dać swoje uczciwe nazwisko. Tego nie mogę przyjąć! To zbyt wielka ofiara! Twoja reputacja ucierpi na tym, to ci będzie szkodzić. Uznaję twoją wspaniałomyślność, ale nie mogę jej przyjąć.

— Inez! — rzekł Bob — spodziewałem się tych słów i mam gotową na nie odpowiedź. Wstyd twój zupełnie był niezasłużony. Nieszczęście twoje, to tylko oszustwo innych. Uczciwy człowiek nie może cię winić. Więc dlaczego nie chcesz mi zrobić tego, co będzie moim szczęściem? Proszę cię jeszcze raz, zostań moją żoną. Szczęście nasze będzie nie między ludźmi, ale w naszym cichym domu. Zgódź się na to, proszę cię, chyba, że moja sympatia jest zupełnie bez wzajemności.

Patrzył trwożnie w jej oczy.

— Nie! — odpowiedziała — kłamałabym, wypierając się uczucia dla ciebie. Co innego mnie powstrzymuje. Mamo! Czy mogę zostać jego żoną? Czy to nie będzie niesłuszne z mojej strony?

— Moje drogie dziecko! — rzekła matka wzruszona — Robert ma słuszność. Tyś niewinna, że cię oszukano. Żaden człowiek uczciwy nie może robić ci wyrzutów. Oddaj mu swą rękę, wiem, że będzie miał w tobie dobrą żonę, bo zmieniłaś się bardzo na korzyść...

— A więc! — zawołał Bob z radością — jesteś przegłosowana. Od dziś jesteś moją narzeczoną, a niezadługo zostaniesz moją żoną.

Objął ją i pocałował serdecznie, choć bez gwałtownej namiętności. Inez nie broniła się.

— Robercie — rzekła — jeżeli mimo wszystko chcesz mnie pojąć za żonę, to zgadzam się i będę się starać, abyś nigdy nie miał przyczyny tego żałować. Życzenie twoje będzie celem mego życia. Chcę być sługą twoją do śmierci.

— Nie! — zawołał Bob wzruszony — tego nie chcę! Będziesz kochaną moją żoną, którą nosić będę na rękach.

Kochana mateczko, pobłogosław związkowi twych dzieci!

Pani Snob, która rzewnie płakała łzami radości, chciała właściwie coś powiedzieć, gdy Filip i Fidez, którzy przez cały ten czas żywo o czymś szeptali, ręka w rękę wystąpili przed nią.

— Droga cioteczko! — rzekł Filip — ja nie umiem dużo mówić i dlatego pytam się krótko i węzłowato, czy chcesz mnie przyjąć za syna? Fidez się zgadza wyjść za mnie, chodzi jeszcze tylko o twoje błogosławieństwo.

— Drogie moje dzieci! — zawołała pani Snob uszczęśliwiona — błoga to chwila dla mnie. Umrę spokojnie, bo wiem, że córki moje teraz będą pod opieką zacnych, uczciwych ludzi. Niech wam Bóg błogosławi! Niech nigdy spokój i pogoda nie opuszcza waszego domu.

Łkanie przerwało jej, a Inez i Fidez płakały także.

Ale były to łzy radości, równe modlitwie dziękczynnej, słanej ku niebu.

Do późnego wieczora siedzieli razem, ale przysmaki na stole pozostały prawie nietknięte.

Tyle było rzeczy do omówienia, że na jedzenie nie było czasu.

Podwójne wesele ustanowiono na termin niedaleki, bez gości, prócz niezbędnych świadków.

Potem mieli się sprowadzić do Londynu i nie odbywszy żadnej podróży poślubnej zamieszkać tam, lecz nie we wspaniałym domu na Kensington-Place, lecz w pobliżu interesu braci.

Mama Snob miała mieszkać na przemian to u jednej, to u drugiej córki.

Wracając do domu Bob i Filip, snuli plany przyszłego szczęścia domowego.



Podczas ostatnich manewrów zimowych w Austrii zastosowano białe okrycia dla wojskowych patrolów narciarskich.

Pani Snob zaś z córkami uklękły i podziękowały Bogu za to, że tak wspaniale odwrócił od nich smutki i żale i wynagrodził im dawne zmartwienie.

ROZDZIAŁ CCLXVII.

Na pokładzie Mewy

Tymczasem Sylwia zajechała szczęśliwie do Hamburga i umieściła się w hotelu pod „Złotą gęsią". Poinformowała się co do okrętów, które odjeżdżały do Ameryki, a ponieważ okręt Mewa miał wyruszyć w sobotę, więc wybrała ten i kupiła bilet drugiej klasy. Ajent dodał wręczając jej jej bilet, że ponieważ okręt wyrusza bardzo wcześnie, więc już w piątek wieczorem pasażerowie muszą być na pokładzie.

We czwartek wieczorem Sylwia siedziała zadumana w swoim numerze w hotelu, gdy w tem zapukał ktoś do drzwi.

Sylwia zawołała: Proszę! i zdziwiła się bardzo, ujrzawszy obcą jakąś starszą kobietę w żałobie.

— Czy pani do mnie? — zapytała zdziwiona.

— Do panny Sylwii Herbert, odrzekła przybyła.

— Proszę. A z kim mam przyjemność?

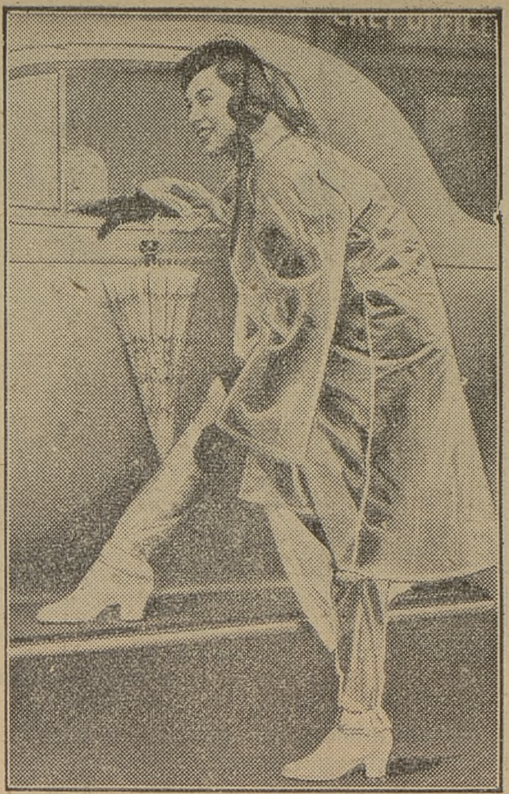
— Nazywam się Schnorrowa — rzekła kobieta z niezgrabnym dygiem — wdowa — dodała płaczliwie i mam do pani wielką prośbę.

— Proszę pani! — rzekła Sylwia uprzejmie wskazując jej krzesło — miło mi będzie, jeżeli pani będę mogła usłużyć.

— Mąż mój umarł niedawno — kłamała stara baba — i ja zostałam sama jak palec na tym Bożym świecie. Tymczasem pisze mój syn z Ameryki, żebym koniecznie przyjechała do niego.

Nie trzeba Czytelnikom przypominać, że Schnorrowa, znajoma nasza z Wiednia, nie miała syna.

— Jak długo jechałam do Hamburga — mówiła dalej łotrzyca — wszystko było dobrze. Ale tu, proszę pani, to morze, ta wielka woda, to ja się słusznie boję sama jedna jechać tamtędy. Klękam tedy, proszę pani w tej mojej bojaźni i modlę się do Pana Boga, żeby mnie głupiej babie zesłał jakąś opiekę. I zaraz mi Pan Bóg zesłał pocieszenie, bo mi powiada pokojówka hotelowa, że pani jedzie także do Ameryki. Więc pomyślałam sobie, żeby paniusię bardzo prosić o opiekę nade mną, biedną starą, która nigdy nie jechała okrętem przez morze.



Rynsztunek amerykańskiej modnisi, dobrze zabezpieczający przed deszczem, a wykonany z celofanu



Igraszki arlekinów.

Sylwia ani na chwilę nie przypuszczała, żeby to mógł być jakiś podstęp i przyrzekła kobiecie, że co tylko będzie mogła zrobić dla niej, to z pewnością zrobi. Przyrzekła jej też, że ją nazajutrz rano zaprowadzi do biura biletowego, żeby sobie kupiła bilet na drogę.

Z dygami i podziękowaniami, Schnorrowa wyszła z pokoju i poszła do swego numeru, który miała wynajęty w tym samym hotelu — jak sobie czytelnicy zapewne przypomną.

Tam czekała jej powrotu Cyganka Ilona.

— No cóż? — spytała.

— Świetnie! — opowiadała Schnorrowa — dała się złapać całkiem naiwnie. Możesz mi już wypłacić moje wynagrodzenie.

— Ani mi się śni! — zawołała Cyganka — dostaniesz, jak mówiłam, na pokładzie okrętu. Przedtem ani centa.

— To mi pokaż przynajmniej, że masz! — prosiła Schnorrowa.

Cyganka wyciągnęła z zanadrza zawiniątko i rozwiązawszy je, pokazała Schnorrowej, której oczy świeciły się z chciwości.

Równocześnie zadzwoniła na służbę hotelową.

— Chcesz dla mnie zamówić piwo? — zapytała Schnorrowa.

— Dość już złopałaś dzisiaj — odpowiedziała Cyganka, chowając pieniądze.

Gdy służąca weszła, Ilona ku wielkiej irytacji Schnorrowej, zamówiła sobie osobny pokoik na noc.

— A to na co? — zapytała Schnorrowa z tłumioną złością, gdy służąca wyszła z pokoju.

— Na to — odpowiedziała Ilona obojętnie, — że gdybym spała tutaj, to byś mnie okradła i uciekła.

Schnorrowa odpowiedziała przekleństwem.

Nazajutrz rano z miną pobożną, udała się do Sylwii i idąc z nią przez ulice Hamburga do biura podróży, co krok rozdziawiała gębę z podziwu i udawała głupią babę, która pierwszy raz widzi większe miasto.

Wypytywała się też o najrozmaitsze głupstwa, a Sylwia cierpliwie odpowiadała jej na wszystko.

Nie przyjęła jednak zaproszenia do wspólnego spędzania dnia, mówiąc, że ma pisać listy.

Rzeczywiście przez cały dzień pisała, do matki i Idy, długie, serdeczne listy.

Wieczorem, zanim wyjechała na okręt, kazała przez hotelową przypomnieć Schnorrowej, że czas wyruszyć.

Stała już na pokładzie, ze smutkiem patrząc ku lądowi, gdy zobaczyła między nową serią podróżnych wysiadujących z łodzi na okręt znajomą swoją, a obok niej jakąś służącą.

Służąca ta owinięta była w czarną chustkę, a twarz miała obwiązaną, jak od bólu zębów, tak że tylko oczy było widać.

— Dziwna rzecz — pomyślała sobie Sylwia — gdyby nie było niemożliwe, byłabym pewna, że to Ilona. Chód i ruchy bardzo podobne. Ale skądżeby ona tu się wzięła?

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin.

Wie	tro	nie	ka	od
ba	i	le	chę	trze
ko	gać		żej	wa
ści	chle	wy	ba	mi
ma	tyl	ło	łek	cia

Ruchem konika szachowego rozwiązać powyższą konikówkę.

DOPEŁNIANKA

pod. M. G.

N.. t..e.a .t.w..ć j...u .ąd.ń, lecz . j.t.o .o.i s.m..u .s.a.y..ć .b.w.ą..i.

Odczytać złotą myśl Żmijewskiej.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 25 lutego br.

Rozwiązania zadań z nr. 6 „Moich Powieści":

Łamigłówka: 1. karat, 2. karta, 3 katar, 4 krata, 5 tarka.

Szarada: Armata.

Trafne rozwiazania nadesłali pp.: Dorożyński Eustachy — Trzeciewiec, Janicki — Gniezno, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Grątkowska Alicja — Włocławek, Domagałowa Marta — Żnin, Juźwicki Alojzy — Mroczno, „Wieszczka Kwiatów", Lenart Tadeusz — Rakowice, Kujawa Teodor — Janów, Chełminiakówna Janina — Bydgoszcz, Głód Zygmunt — Toruń, Kiełbratawski Anastazy — Poznań, Koszal Jan — Drzewce, Pawlakówna Janina — Książki, Kłolska B. — Czepów, Czerniejewska W. — Żnin, Słupska Lidia — Kurzętnik, Schulz W. — Poznań, Wieczorek — Toruń.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Pawlakównej z Książek i Juźwickiemu z Mroczna.

ADAM NASIELSKI

10)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Pan już za dużo wie, kapitanie. Pan musi zostać aż do spełnienia całego zadania. Potrzebny mi jest rozkład domu Murray'ów i odcisk woskowy klucza do pokoju Dicka. Ani słowa przed nikim. Potem będzie pan wolny.

— A jeżeli ja odmówię, mr. Sedgwick. Jeżeli ujmę pana delikatnie pod rączkę i podprowadzę do pierwszego z brzegu policjanta ze słowami: „proszę zaopiekować się panem Montague Sedgwickiem na parę lat". I złoże wyjaśnienie.

— To równałoby się trochę śmierci kapitana Jazona Kenta w najbliższym czasie — wyjaśnił bankier — i Jaz zadrżał powtórnie. Zrozumiał nagle, że sytuacja jest bardziej groźna niż mu się wydawało dotąd.

— Mogę przysiąc pod słowem honoru, że będę milczał, a ja nie złamię słowa.

— Tylko zmarli milczą, kapitanie Kent. Żywi nie umieją zachować tajemnicy — bez zapłaty. Spełnienie pańskiej groźby — o ile ona jest poważna i niedwuznaczna — spowodowałoby wprawdzie moje aresztowanie i dalsze konsekwencje. Ale nie powstrzymałoby wykonania wyroku śmierci na panu w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin... Przez moich ludzi.

— Mamy przy sobie rewolwer, mr. Sedgwick, i mam ochotę palnąć panu w łeb. Nie byłoby wielkiej szkody dla społeczeństwa.

— Wierzę — brzmiała zimna odpowiedź. — Niech pan sobie zapamięta, kapitanie: Plan domu i odcisk klucza. To nie będzie trudno, o ile weźmiemy pod uwagę dzisiejszy poranny telefon miss Murray do pana.

Więc on i o tym wiedział. Podsłuchiwał telefon lub przekupił kogoś w centralce hotelu.

— Na Boga! Czy pan sądzi, że to film sensacyjny? Pójdę do urzędu policyjnego i zeznam o wszystkim. Nie jesteśmy na bezludnej wyspie ani w udzielnym państwie Jego Królewskiej Mości Montague Pierwszego.

— Jesteśmy w Chicago, kapitanie Kent — nie uśmiechnął się nawet szpieg. — To wygodniej. Przypuszczam, że nie dojechałby pan nawet do policji.

— Brednie! Nikt nie może mnie zmusić do tego, abym był szpiegiem mimo własnej woli.

— Tu nie ma mowy o terrorze. Pan się zobowiązał, Kent. Wziął pieniądze — do czego pana nikt nie zmusił. Na cofnięcie się jest już nieco za późno.

— Ależ ja nie wiedziałem do czego się angażuję. Przysięgam.

— Przysięga zbyteczna, kapitanie, ja nie jestem sędzią karnym. Jaki sąd uwierzyłby zresztą takim bajkom. Dorosły człowiek nie jest dzieckiem. Czy pan przypuszczał choć przez sekundę, że obcy człowiek — ja — daję panu takie pieniądze za nic, za darmo? Proszę przestać bredzić... Nie znam przyczyn pańskiego nagłego wybryku. Może strona przeciwna zaofiarowała panu więcej...

W głosie Sedgwicka zabrzęczała groźba, gdy dokończył:

— My nie z takimi dawaliśmy sobie radę. Był też pewien gubernator stanu...

Jaz zamilkł. Zdumienie i strach odebrały mu zdolność myślenia. Czekał w bezruchu nie wiadomo na co i patrzał na Cliffa. Murzyn trzymał rękę w kieszeni płaszcza i kapitan wiedział, że wystarczyłby jeden znak, a mr. Montague Sedgwick ległby z kulą w brzuchu. Lecz wiedział również dobrze, że on tego znaku nie da. Nie był mordercą. Spojrzał na Sedgwicka.

— To pan zabił Rantona.

— Uważam, że tego pytania nie słyszałem, kapitanie.

— Inspektor Buddy Wills z Chicago Criminal Departament uważa zdaje się inaczej, dyrektorze. Szukał pana dziś w banku. I to jest jedyna moja nadzieja — westchnął Jazon szczerze. Nie dostrzegł jednak żadnej zmiany na twarzy Sedgwicka, gdy ten wstał i pożegnał ich krótkim skinieniem głowy.

— Jutro rano oczekuję raportu. Myślę, że randka o czwartej z miss Murray przyda się panu dla wykonania zadania. Mimo pańskiej krnąbności jestem z pana zadowolony, kapitanie. — Już zamierzał odejść gdy przypomniał sobie: — Otworzyłem panu konto bieżące w naszym banku. W ten sposób będzie pan mógł komunikować się ze mną bez zwrócenia na się podejrzeń.

Minęło równo pięć minut, zanim Jaz zorientował się, że został sam. Obok niego siedział już tylko Cliff. Montague Sedgwick odszedł.

ROZDZIAŁ XIX.

WOBEC TEGO IDZIEMY NA LUNCH...

Po raz pierwszy w życiu Jazon odczuł co to znaczy: — strach. Twarde, nieuchwytne uczucie obawy przed realnem niebezpieczeństwem. Kulka w łeb — po gangstersku. Sedgwick to na pewno gangster. Po zniesieniu ustaw prohibicyjnych gangsterzy stracili główne źródło zarobku — przemyt i opłaty od odbiorców. Wtedy rozproszyli się po różnych „fachach", „rynku" kryminalnego: Kidnapperstwo, rozbój, szantaż, terror, rackeeting i szpiegostwo.

Nie wątpił więc ani przez chwilę, że Montague Sedgwick spełni swoje groźby. Znał przecież każdy krok Jazona, nawet wiedział o jego rozmowie telefonicznej z Thelmą... Plan domu i odcisk klucza — zupełnie jak w powieści sensacyjnej. Najbardziej jednak przeraziły Jazona zdolności psychologiczne Sedgwicka — co za mądry łotr! Najpierw pieniądze, potem terror — dwa czynniki, którym zarówno trudno jest oprzeć się. Jeżeli więc zechce być posłuszny — powinien dziś spotkać się z Thelmą, poprowadzić rozmowę tak, aby go zaprosiła i rozejrzeć się w budynku i zdobyć odcisk woskowy klucza do pokoju porucznika Hiharda Murray'a. Plan jasny. — Sedgwickowi chodzi o zdobycie tajnych aktów. Gdy zauważył przedwczoraj Jaza na dancingu z miss Murray, przypomniał sobie, że ten człowiek prosił go o trzeciej o posadę i zaproponował Jazowi pięćset dolarów, najpierw nie mówiąc za co, potem powoli przyzwyczaił go do sytuacji i teraz — sztych! Genialne!

— Słyszałem całą rozmowę, captain.

— Wiem o tym, Cliff i dziwi mnie, że Sedgwick mówił o takich rzeczach wobec osoby trzeciej. Tłumaczę to sobie tylko tym, że on musi mieć doskonały wywiad i wiedzieć co nas ze sobą łączy. To jeszcze bardziej każe nam mieć się przed nim na baczności.

— I co pan teraz zrobi, sir.

— Istnieją trzy ewentualności — ale wszystkie na nic: Uciec, wykonać rozkaz, lub opowiedzieć o wszystkim inspektorowi Willsowi.

— Wtedy Sedgwick zastrzeli nas. To na pewno jest gangster.

— Ja też już o tym pomyślałem. Jest źle.

— Po co pan to mówi, captain.

— Sam nie wiem, co mówię. Gdybym ci teraz zaproponował objęcie przewodnictwa na sesji Ligi Narodów w sprawie konfliktu włosko - abisyńskiego — nie bądź obrażony, proszę. Mam rewolucję w mózgu. Jak z tego wyleźć? Jak..

Papieros kapitana zgasł, lecz on nie myślał o jego zapaleniu i czuł się jakby wystrzelony w powietrze i pędzony gdzieś, hen, w niewiadome, bez możności spadnięcia na ziemię. Thelma, Sedgwick, szpieg, gangster, groźby, pieniądze, hotel, miłość, odcisk klucza, flirt, plan domu, inspektor Buddy, komander Douglas, Banton, sznurowadła — psiakrew! można dostać kołowacizny.

A tu nic — żadna myśl nie chce przyjść z pomocą. Wykonać rozkaz Sedgwicka — jak to pogodzić z miłością do Thelmy. Jeżeli zaś uczucie do miss Murray jest tylko urojeniem — to nie stoi ono wprawdzie na przeszkodzie wykonaniu instrukcyj bankiera — ale w jaki sposób pogodzić to z świadomością uczciwości i wstręt do przestępstwa w ogóle, a czynu szpiegowskiego w szczególności. Nazwijmy nawet ten „wstręt" — zwykłym strachem, zgoda — lecz to nie zmienia postaci rzeczy. Chwila wymaga decyzji — a postanowienia znikąd nie widać.

Pierwszy lepszy sentymentalny idiota na miejscu kapitana Kenta popełniłby w takiej chwili koncertowe głupstwo. Albo doniósłby policji i dostałby od gangsterów w żołądek gram ołowiu, podany w formie kuli. Bądź też wykonałby rozkaz i pokłóciłby się ze swoim czcigodnym sumieniem, co w konsekwencji doprowadziłoby go do innego głupstwa. Lub też plunąłby ze wzgardą na ten nędzny żywot i skoczyłby z fasonem do jeziora Michigan. — Tak postąpiłby człowiek bez mózgu, popularnie głupcem zwany, czyli sto jeden osób na sto. Bo głupców mamy zawsze o jednego za dużo.

Kapitan Jazon Kent miał natomiast wcale spory mózg, uważał, że ten nędzny żywot wcale znów nie jest taki sobie nędznawy i — uśmiechnął się. Wtedy wszystkie czarne myśli pierzchły jak opętane, wiadomą jest bowiem niepowszechnie rzeczą, że pesymizm drży przed uśmiechem, tą potężną bronią w ręku optymizmu.

— Wiesz, co teraz zrobimy, Cliff? — odpowiedział wreszcie na pytanie.

Murzyn wytrzeszczył oczy w nadziei usłyszenia ważnej decyzji. Lepiej już to niż niepewność i obawa. Toteż odpowiedź wydała mu się niesamowita:

— Pojedziemy se na lunch, Cliff — rzekł Jaz poważnie i z zadowoleniem. — I jeżeli nie podadzą mi roastbeefu w sosie musztardowym, zdemolujemy restaurację. To jest najmądrzejsza decyzja w moim życiu!

— O ko! — odparł Dianga jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy to w lasach Afryki Centralnej przyglądał się z zaciekawieniem małego chłopca, jak jego ziomkowie urządzali formalne polowania z nagonką na niemieckich misjonarzy, których mięso słynne było w dżungli ze swego tłuszczu i dobrego smaku. Ale kapitan Kent był niekiedy złośliwy.

— Nie cytuj Wallace'a, Cliff, i nie mów „o ko!" stary zacny ludojadzie. Po śniadaniu spróbujemy myśleć, na moją głowę! — mówiąc twoim stylem.

Jackson Avenue była o tej porze nieco mniej gwarna, o ile chodzi o ludzi, którzy potrafią na ogół hałasować więcej niż najgłośniejsze maszyny. Znaleźli łatwo jakąś czystą restaurację, gdzie Jaz nie dostał wprawdzie dziwolągu w postaci roastbeefu w sosie musztardowym — tym niemniej zrezygnował łaskawie z zamiaru demolacji lokalu i śniadanie minęło normalnie.

Ktokolwiek bądź spojrzałby na twarz tego chudego i muskularnego człowieka o sympatycznych, niebieskich oczach — nie dojrzałby w niej w tej chwili nic ponad zadowolenie ze smacznych potraw, jakie zjadł. Zgodnie ze starym zwyczajem kazał sobie podać dwa tygodniki humorystyczne i wbrew zasadzie — gazetę. Dzięki wczorajszemu doświadczeniu doszedł do wniosku, że warto nawet podrażnić nos wstrętnym zapachem tych łgarstw i bzdurstw prasy codziennej, aby dowiedzieć się z niej niektórych faktów pewnych i niewątpliwych, które mogą się czasami przydać. Nie znalazł wzmianki o interesujących go wydarzeniach, przeczytał z zadowoleniem oba tygodniki, kazał podać Cliffowi jeszcze jeden kufel piwa słodowego, które Murzyn uważał za największą zdobycz cywilizacji od czasów Cezara Augusta i siedział sam paląc w milczeniu. Po posiłku ogarnęło go miłe lenistwo, nie chciało mu się tak wcześnie wracać do hotelu, ani powstać z wygodnego fotela i postanowił przepędzić jakoś czas do trzeciej, potem przebrać się i iść na spotkanie z miss Murray.

Dalibóg — nie wiedział wcale, co uczyni później. Czy spełni zadanie Sedgwicka, czy opowie Thelmie o wszystkiem, czy zwieje w ostatniej chwili z Chicago, czy też pójdzie do banku, aby wyboksować dyrektora Montague'a w obecności personelu, aby w ten radykalny niekiedy sposób wybić mu z łepetyny myśl werbowania niewinnych ludzi na szpiegów mimo woli. Bo takim już był kapitan Jazon Kent — i dobrze mu było na tym świecie z optymizmem, bezbroską ducha i z przenikliwym rozumem, który tylko marny obserwator mógłby wziąć za głos instynktu i ślepego szczęścia. Jazon był człowiekiem bezwzględnie mądrym, pomimo dziwacznego usposobienia zwariowanego oportunisty.

Beztroska kapitana udzieliła się Murzynowi-filozofowi, który ku pseudo-zgorszeniu swego pana zrobił oko do czarnej kelnerki. Przypomniało to Jazowi pewną okoliczność, jaką zachował w myśli, albowiem primo był mężczyzną dobrze wychowanym i dyskretnym, a secundo minęły już te czasy, kiedy człowiek w takich chwilach po prostu musiał, zaraz... Spojrzał na zegarek i zrezygnował jednak z intermezza.

— Opowiedz mi lepiej jakąś ciekawą bajkę, Cliff — a przyrzekam, że postaram się uwierzyć, iż to prawda. Może historię twej szczęśliwej miłości...

Cliff pociągnął haust piwa...

Punktualnie o trzeciej wysiedli przed hotelem i udali się na górę. Tu Jaz przebrał się szybko, uczesał i zwrócił się do Cliffa.

— Nie ma sensu, abyś mi wszędzie towarzyszył jak małemu baby. Zostaniesz. Ja wrócę chyba późno.

— Ale cały! Proszę uważać na siebie sir i wziąć broń.

— Przypuszczam, że postarasz się jeszcze nie umrzeć. Good day, Cliff.

— Farewell, captain. Myślę, że...

Szkoda, że Jazon nie usłyszał dalszego ciągu, bo wyszedł szybko na korytarz. Zjechał do hallu i polecił portierowi sprowadzić sobie taxi i podał adres Petit Gourmet.

— A widzisz, są Eryhuts — zaczął portier, lecz płatniczy, mr. Craig, odszedł prędko, aby załatwić odjeżdżającego gościa. Portier dokończył więc w duchu — Byle kto nie jedzie do Petit Gourmet.

Dziwne, kapitan Kent nie zgodziłby się z tym ostatnim. W poczekalni zastał kilka dość ordynarnych gęb, aczkolwiek ich właściciele byli ubrani bez zarzutu. Na szczęście nie musiał długo przyglądać się im, gdyż Thelma nadeszła z astronomiczną punktualnością, jak na kobietę z wprost niesamowitą dokładnością — i już na progu uśmiechnęła się doń miło.

— Halo, Jaz.

Schował jej szalik do kieszeni swego płaszcza, który zostawił oczywiście wraz z płaszczem Thelmy w szatni. W smokingu prezentował się jeszcze wspanialej niż we fraku i z miłym niepokojem, pochwycił przesuwające się po jego wysokiej postaci spojrzenie Thelmy.

— Pięknie pan dziś wygląda. Idziemy do tej samej loży — rzekła, a on nie miał w końcu nic przeciwko temu. Ogarnęło go jednak lekkie uczucie lęku, gdy w loży naprzeciwko dostrzegł nieruchomą twarz Montague Sedgwicka, a w loży obok poznał od razu profil komandora Seldona Douglasa, człowieka, który miał jakoby wyjechać do Europy!

ROZDZIAŁ XX.

TRUDNO MIEĆ JESZCZE HUMOR...

— Czemu pan stracił humor, kapitanie.

W pięknym sortie de bal Thelma wyglądała uroczo i Jaz na chwilę zapomniał o wszystkich troskach. Zamiast odpowiedzieć, wpatrzył się w jej usta jak urzeczony i nawet zapomniał odsunąć jej krzesło, aby usiadła. Zorientował się jednak natychmiast i odzyskał panowanie nad sobą.

— Przypomniałem sobie coś przykrego.

— Patrząc na mnie?

— Wtedy musiałbym pomyśleć raczej coś miłego.

— Nareszcie komplement, dziwny kapitanie.

„Dziwny kapitanie". I bądź-tu człowieku inny, kiedy naprzeciwko siedzi ta wredna kreatura Sedgwick, a w sąsiedniej loży Douglas, as wywiadu, z którym Jazon przeżył taką przygodę na Lawrence Avenue. Czyżby

tylko przypadek? Chyba nie. Komandor Douglas przybył tu... aby go aresztować. Nie! Przecież on tu już był przedtem i skąd mógłby wiedzieć? Chyba, że śledził Sedgwicka — to jest bardzo prawdopodobne. A zatem...

— Kapitanie, niechże się pan zlituje nad naszym kelnerem — wyrwał go z osłupienia szept Thelmy — i w końcu coś zamówi; przecież ten człowiek gotów dostać zasztywnienia nóg z czekania.

Jaz polecił przynieść wino, którego nazwę znalazł na pierwszym lepszym miejscu w cenniku. Kelner spojrzał ze zdumieniem na „pasażera", który „zalał się w pestkę" już przed przybyciem do „knajpy" i kapitan zorientował się, że kazał podać wino marki „pasztet strassburski z kartofelkami".

— Excuse me — i zamówił już tym razem coś normalnego do picia i biszkopty.

Przesunął językiem po wyschniętych wargach i spojrzał półprzytomnie na Thelmę.

— Co panu, Jaz! — zaniepokoiła się w końcu. — Może pan jest chory!

— Nie tyle chory, co przerażony. Myślę, że za jakieś pół godziny będę aresztowany według wszelkich prawideł — palnął z desperacją i już jechał na całego: — Widzi pani tego pana obok — to komandor Seldon Douglas z Navy Secret Service. A ten naprzeciwko, we fraku — to niejaki mr. Montague Sedgwick, dyrektor z Banku La Salle'a — szpieg i gangster. A ja jestem na usługach szajki Sedgwicka i przy pani pomocy mam zdobyć odcisk klucza i plan domu celem wykradzenia tajnych aktów...

Spojrzała najpierw z oszołomieniem w oczach na siwe włosy eleganckiego komandora w sąsiedniej loży z piersią upstrzoną orderami, potem na dystyngowany frak Montague Sedgwicka w loży naprzeciwko, wreszcie na zakłopotaną twarz Jazona Kenta — i wybuchła głośnym śmiechem, że aż jej łzy stanęły w oczach.

— Par... haha... pardon, kapitanie, może za głośno. — Ale to było dosłownie i w przenośni kapitalne. Przypuszczałam od razu, że pan jest literatem Famous! Powinienien pan był wpleść w to koniecznie jeszcze mego brata, jako niesamowitego tajemniczego porucznika marynarki wojennej i ponurego inspektora Buddy Willsa. Tylko, że Buddy jest raczej typem molierowskim niż dantejskim.

— Przypadkowo zgadła pani zupełnie dobrze, Dick i Buddy też są w to wplątani. A komandor Douglas w chwilach wolnych od zajęć zawodowych, zajmuje się sprzedażą sznurowadeł, lusterek i innych świecidełek. Za nim zaś stale jest do dyspozycji żółty Lincoln...

— Świetne!! — Miss Murray wprost płakała ze śmiechu. — Pozwoli pan, że ja dokończę w tym samym stylu: I Lincoln chory na żółtaczkę mruga swymi parabolicznymi latarniami, kuleje na jedną oponę i zjada sznurowadła swemu panu aż Secret Service rży z radości. Dobre? Ostatnio modne są w literaturze i felietonistyce te arcyfuturystyczne zestawienia, tylko, że już z nadużyciem. Lecz pan to dobrze zrobił, kapitanie. Czekam na dalszy ciąg.

— Ależ! — spróbował ją przekonać.

— Już pan przestaje! Znów powaga. Dziękuję! Chcę dalej — zmrużyła rozkosznie powieki i ukazała drobne zęby. W tej chwili była dla niego wprost nieludzko piękna, może pod wpływem świadomości, że za kilka minut, godzin... utraci na zawsze możności jej oglądania...

— Ciąg dalszy nie zależy już ode mnie, miss Murray. Czekam aż mnie aresztują.

— To już było, kapitanie. Coś nowego!

— Nie ma nic nowego pod słońcem.

— Plagiat starego Ben Akiby.

Uspokoiła się wreszcie i mimo woli ujęła rękę Jaza.

— Jest pan świetnym kompanem, Jaz. Już dawno się tak nie śmiałam.

Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy, a potem poprawiła sobie twarz, zbytecznie, bo i tak była ładna. Uchwyciła w końcu zachwycone spojrzenie Jaza i — jak każda kobieta — uśmiechnęła się doń przyjemnie.

— Wiem, że się panu podobam.

— Niestety — wyrwało mu się, ale na cofnięcie się było już za późno.

— Jakto niestety. Może nowy kawał kapitana Kenta.

— Niestety — wyjaśnił zrezygnowany już zupełnie — bo jeżeli będę za kwadrans aresztowany, jako szpieg, stracę panią na zawsze.

— Już trzeci raz powtarza pan ten kawał. Przecież to nie teatr. Widocznie kapitan Kent wyczerpał się tak nagle jak wylądował. Pomówmy więc dla odmiany trochę poważnie.

— Usiłuję to uczynić od pięciu minut, zaś pani ciągle chce we mnie wmówić, że opowiadam cudowne kawały, że mam kapitalny humor — podczas gdy to wszystko, co mówię — jest prawdą.

— Więcej nie będę się śmiać! Już nie mam sił. Widzę, że zapomniał pan docna o wczorajszej miłości. Likiery i cocktail wywietrzały — a wraz z nimi płomienna miłość egzotycznego i dowcipnego kapitana do przystojnej dziennikarki chicagowskiej, która w chwilach wolnych od zajęć — mówiąc pana stylem — jest córką milionera i zaprasza obcych ludzi, aby ich oszołomić swoimi cocktailami niczym Circe z U. S. A. Więc, maestro. Nieźle, jak na początkujący talent, rokujący długie i ciężkie... pardon!... duże i cenne nadzieje.

Zamilkła naraz i dodała, jakby do siebie: — My, kobiety, traktujemy takie sprawy o wiele poważniej. — Jaz uśmiechnął się mimo to, ale jakoś smutnie.

— Miss Murray! — rzekł nagle. — Usposobieniem odpowiadamy sobie doskonale. Gdyby nie moja sytuacja, oświadczyłbym, że... ja panią naprawdę kocham. Taką właśnie — mówił coraz ciszej — wyobrażałam sobie dozgonną towarzyszkę życia. Lecz cóż — omal nie zazgrzytał zębami. — Pech! Nic więcej tylko głupi pech. Lepiejby było, gdybym pani nie spotkał, Thelmo.

— Aha! Przedtem ekscentryczna farsa — a teraz dla odmiany opera comique. Na urozmaicenie nie można narzekać w pana towarzystwie. — Wyczuł w jej głosie ledwie dostrzegalny wyrzut i zabolało go to.

— Wypijemy w końcu, kapitanie — bo stygnie.

Wstydził się spojrzeć jej w oczy.

— A teraz tańczyć! — zadecydowała.

„Histeryczka!" — chciał powiedzieć, ale dosłownie ugryzł się w język. Wcale nie! Czy to jej wina, że on — ekscentryczny (zwariowany! przyjacielu) lekkoduch — zaplątał się w tak nieprawdopodobną kabałę. Jeżeli zaś nieprawdopodobna — to czemu ona właśnie miałaby uznać ją za prawdziwą! Poza tym — uspokoił się nagle swoim zwyczajem — tańczy się wcale przyjemnie, Thelma jest piękna i już zwrócono na nich uwagę, stanowią doskonale zharmonizowaną parę i — wcale nie wykazują rażących „zmian pozycyjnych". Seldon Douglas trąca się kielichami ze swoją towarzyszką i... czego tu się gryźć po próżnicy.

Przyciągnął Thelmę lekko do siebie, a ona była tym wprawdzie zaskoczona, lecz znów nie miała nic przeciwko. Kapitan Kent tańczył prawie tak dobrze jak opowiadał ekscentryczne historie: o niepłaceniu rachunku, o aresztowaniu i... o miłości.

Gdy oklaski nie pomogły, opuścili parkiet i wrócili do loży. — Było przyjemnie — odetchnęła już normalnie.

— Bardzo — przyznał Jaz. — Miss Murray, chcę pani powiedzieć coś ważnego.

— Oho! Nowy kawał?

— Nie — rzekł, jak mógł najpoważniej. — Chce pani coś wyznać.

— Miłość? Można tu.

— Nie miłość — tajemnicę. I nie tu. Wyjdźmy i...

— Czy to nie za szybkie tempo i za błahy pozór, kapitanie — mrugnęła do niego.

Dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli i nie oburzył się. Spojrzał tylko na nią z wyrzutem:

— Co pani sobie o mnie myśli.

— Że poza tym jest pan chyba normalnym mężczyzną. Trochę ekscentrycznym — to prawda. Ale... — nie dokończyła.

— Kiedy ja naprawdę muszę pani coś wyznać. Wsiądźmy do pani samochodu i tam pani powiem... wszystko. Jest szofer... C. d. n.



Niedziela, dnia 20 lutego 1933 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Nabożeństwo z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej w Łodzi. Po nabożeństwie około godz. 10.30 muzyka — płyty 12.03 Poranek symfoniczny (ze Lwowa) 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.45 Z fiordów północy. Popularna muzyka skandynawska 17.00 Koncert rozrywkowy z sali Teatru Miejskiego w Płocku 19.00 „Służbista" — słuchowisko 19.35 Muzyka taneczna. 21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Ignacy Paderewski: Wariacje es-moll wykona Józef Turczyński 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 21 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Od warsztatu do warsztatu — reportaż z pracowni bieliźniarskiej (z Poznania) 12.03 Aud. południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Miniatury kwadratowe 17.00 Dzieje pieniądza — odczyt prof. Krzyżanowskiego 17.15 Koncert solistów 18.10 Orkiestra Edith Lorand i Reginald Fort 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujemy: „Spór o opinię publiczną" 20.00 „Kalejdoskop" — lekka audycja muzyczna 21.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 22.00 koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 22 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka z płyt 12.03 Audycja południowa 15.45 „Bal u Dorotki" — w wyk. „Kukiełek Śląskich" 16.15 Muzyka kameralna 17.15 Koncert w wyk. Orkiestry Tramwajów i Autobusów Miejskich 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Nieśmiertelne książki, wieczór X: „Dante" 19.30 Recital śpiewaczy Heleny Hrabi-Szałkiewiczowej 20.00 Muzyka taneczna 21.00 „Krakowiacy i górale" — opera Jana Stefaniego.

Środa, dnia 23 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Recital organowy G. D. Cunninghama 12.03 Audycja południowa 15.45 „Tomasz Alva Edison" — pogadanka dla dzieci 16.00 Uczmy się mówić 16.15 Łódzka orkiestra salonowa 17.00 „K. O. P. — śladami zagończyków" odczyt Melchiora Wańkowicza 17.15 Pieśni na sopran, altówkę i fortepian 18.10 Małe zespoły instrumentalne 18.35 Aud. dla wsi 19.20 Warmijskie i mazurskie pieśni ludowe 19.35 Nowoczesne znachorstwo — dialog 20.00 Oryginalna orkiestra kubańska Juan Amalio 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Mieczysława Münza 21.445 Czym jest poezja — dialog Stefana Flukowskiego i Jana Kotta 22.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 24 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Poranek muzyczny — uwertura symfoniczna i operowa 11.40 Arie operowe 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rozmowa muzyka z młodzieżą" 16.15 Koncert rozrywkowy 17.00 O książce prof. Stanisława Łempickiego p. t. „Polskie tradycje wychowawcze" 17.15 Koncert „The fleet street choir" (uliczny chór) 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Oryginalny Teatr Wyobraźni: „Dyliżans pocztowy" 19.58 Przemówienie Ministra Pełnomocnego Estonii Markusa Hansa 20.05 Koncert muzyki estońskiej (z okazji 20-lecia niepodległości Estonii) 21.00 „Karnawał na Śląsku".

Piątek, dnia 25 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.45 Utwory Anatola Liadowa 12.03 Audycja południowa 15.45 „Doktór z Wolsztyna" — pogadanka 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry Wileńskiej 17.00 „Kształcenie woli dziecka" 17.15 „Od Aten do Bayreuth" — audycja 6-ta „Bogowie pod pręgierzem" 18.10 Fortepian i skrzypce w repertuarze muzyki jazzowej 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Krosienka" 20.00 Transmisja z Wiednia koncertu pod dyr. Lehara.

Sobota, dnia 26 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Walce z baletów 12.03 Audycja południowa 15.45 „Sprawiedliwy wyrok" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Polska muzyka 17.00 „Na polskiej plaży w Bretanii 17.15 Utwory fortepianowe Ign. Friedmana 18.15 Tańce i piosenki hiszpańskie 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Walce wiedeńskie — operetka 22.00 Muzyka taneczna.



DOBRY MOTYW

Do dziecka przyszedł doktor. Zbadał, zapisał lekarstwo, poszedł. Po dwóch dniach znowu go wezwano. Znowu zbadał, znowu zapisał lekarstwo i chce odejść, lecz przedtem spojrzał na wręczone mu honorarium.

— To za mało... — powiada.

— Panie doktorze... — ośmiela się wtrącić matka — 15 złotych za mało?

— Za mało. Przecie za pierwszym razem dostałem 20!

— Tak, ale przecie dziś temperatura trochę spadła!...

POCHODZENIE CZŁOWIEKA

— Teraz przystępujemy do dziejów rodzaju ludzkiego.

— Proszę pana, mój ojciec mówi, że my pochodzimy od małpy.

— To wyjątkowy wypadek, którym na razie nie będziemy się zajmowali.

W ZAPALE KRASOMÓWCZYM

— Jeżeli pan myśli, że mu uwierzę, to musiałby pan znaleźć głupszego ode mnie. A takiego znaleźć nie będzie panu tak łatwo.

PROFESJONALIZM

— Wiesz — mówi ośmioletni Kazio do swego rówieśnika Stasia — tatuś dał mi wczoraj dziesięć groszy, żebym grał w piłkę na podwórzu, bo w domu przeszkadzałem mu w pracy... Idź precz — woła Staś ze zgorszeniem — ty zawodowcze!

WIZJA PRZYSZŁOŚCI

A więc wreszcie Trzecia Rzesza otrzymała kolonie!...

Tegoż dnia do nowoutworzonego ministerstwa kolonii wpłynęło 62 miliony podań o pozwolenie na wyjazd do kolonii!

TO CO NAJWAŻNIEJSZE

Do lekarza przychodzą z wizytą znajomi i nie zastają go w domu. — Przyjmuje ich sześcioletni synek doktora.

— A gdzie tatuś, Jerzyku? — pytają goście.

— Poszedł zrobić operację z lokalnym znieczuleniem.

— A czy ty wiesz, co to znaczy?

— Jeszczebym nie wiedział!? To znaczy — sto złotych...

WIELKA STRATA

— Biedny przyjacielu! Żeby stracić żonę po dwudziestu latach wspólnego pożycia, to przecież okropna rzecz.

— Tak, rzeczywiście, zwłaszcza, że już powoli zaczynałem się do jej obecności przyzwyczajać.

WDZIĘCZNY URZĘDNIK

— Chciałem prosić pana szefa o urlop na dzisiejsze południe?

— Poco?

— Moja żona ma poczynić zakupy, a ja mam jej towarzyszyć.

— Żałuję bardzo, ale na dzisiaj nie mogę pana zwolnić.

— Dziękuję, panie szefie, serdecznie dziękuję!

W SĄDZIE

Przed sądem w Paryżu staje złodziej kieszonkowy. Sędzia ogłasza wyrok: cztery miesiące więzienia.

Złodziej: Prosiłbym o odroczenie kary aż do zamknięcia wystawy.

Sędzia: Z jakich względów?

Złodziej: Zawodowych!

AWANS BABCI

— Powiedz mi, Edziu, czy babcia może awansować?

— Owszem.

A czym wtedy będzie?

— Prababcią.

PRZED SĄDEM

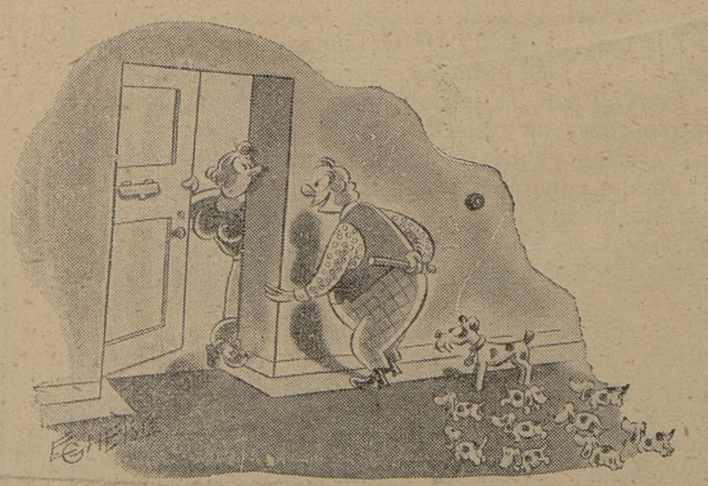
— Więc, Wieśniawski, masz odwagę przysiąc na to?

— Łaski, panie sędzio, dużo razy już przysięgałam w mym życiu — ale nigdy jeszcze tak prawdziwie, jak dziś.

POWÓD

— Czemu się pan tak nagle ożenił?

— Koniecznie musiałem wziąć urlop, a w inny sposób nie mogłem go dostać.



— Pani Krzykalska — o'o przyprowadziłem Pani owoc sympatii Jej Bobusia do mojej Muszki.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie